

Lubelski Lipiec '80 | Polska Wojskowa Misja Zakupów w Paryżu

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 7(427) LIPIEC 2026

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Wojna nie zawiesza codziennego życia
– ona je potwornie wypacza.
Uderza w tych, którzy najmniej
chcą się w niej znaleźć





KOMBATANT
BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 7(427) lipiec 2026

dołącz do nas na facebooku i na X
  www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski

e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów

i Osób Represjonowanych

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

punkt informacyjny tel. 22 276 77 77

www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej

ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3200 egz.



w numerze

4 Druga strona „63 dni chwały”

Wojna nie zawiesza codziennego życia – ona je potwornie wypacza.

O tym musimy pamiętać i robić absolutnie wszystko, aby do wojen nie dopuszczać.

Rozmowa z Wojciechem Grzędzińskim, fotoreporterem, dokumentalistą i laureatem World Press Photo

Katarzyna Krzykowska

8 Powstanie? To dla nas błogosławieństwo...

Joseph Goebbels, jeden z ulubieńców Hitlera, minister propagandy i oświecenia

publicznego III Rzeszy usilnie przekonywał, że zagłada Warszawy dokonuje się rękoma samych Polaków, przy bierności ich zachodnich sojuszników

Waldemar Kowalski

12 Wierny Piłsudskiemu do końca – gen. Orlicz-Dreszer i jego ostatni lot

Dziewięćdziesiąt lat temu, 16 lipca 1936 roku, nad Bałtykiem rozbiła się maszyna

z gen. Gustawem Orliczem-Dreszerem, który leciał do Gdyni, by z ułańską fantazją powitać wracającą z Ameryki żonę

Norbert Nowotnik

16 Polska Wojskowa Misja Zakupów w Paryżu

Organizowała dostawy broni i wyposażenia, które pozwoliły Polsce prowadzić walkę z Rosją sowiecką i wywalczyć korzystny kształt wschodniej granicy. Rozmowa z historykiem dr. Piotrem Uwijalą

Mateusz Wilk-Tomaszewski

21 Lubelski Lipiec '80

Na kilka tygodni przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych i narodzinami

Solidarności to nie Gdańsk, lecz Lubelszczyzna stała się miejscem jednej z największych od Grudnia '70 fal robotniczych protestów

Dorota Gałaszewska-Chilczuk

24 Poszukiwany Zbigniew Bujak

Ten groźny „przestępca polityczny” był w stanie wojennym jedną z najbardziej

poszukiwanych w kraju osób. Jego zatrzymanie stało się dla władz PRL priorytetem

Grzegorz Majchrzak

28 Halina Krahelska. Oddana sprawom drugiego człowieka

Halina Krahelska to postać niezwykła. Już sam fakt, że była kobietą i inspektorem

pracy, w latach dwudziestych ubiegłego wieku nie był zjawiskiem powszechnym.

Rozmowa z dr. Tomaszem Kozłowskim, nadinspektorem pracy z Okręgowego

Inspektoratu Pracy w Poznaniu

Katarzyna Krzykowska

31 Biblioteka SZEFA URZĘDU

Okładka: MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Szanowni Państwo

Niektóre numery naszego miesięcznika układają się niemal same. Nie dlatego, że dotyczą jednej rocznicy. Łączy je coś innego – ludzie, którzy w różnych momentach historii stanęli przed koniecznością dokonania trudnego wyboru.

Powstanie Warszawskie przypomina o cenie wojny. O tym, że obok odwagi i poświęcenia zawsze są zniszczone miasta, śmierć cywilów i życie podporządkowane walce o przetrwanie. Wojna nie zawiesza codzienności. Ona ją wypacza. Dlatego pamięć o Powstaniu powinna być nie tylko hołdem dla jego uczestników, ale także przestrogą.

Kilkadziesiąt lat później Polacy ponownie stanęli przed próbą. Tym razem nie z bronią w rękę. W lipcu 1980 roku robotnicy Lubelszczyzny rozpoczęli protesty przeciwko pogarszającym się warunkom życia, niskim płacom i narastającym problemom gospodarczym. Strajki miały spokojny, dobrze zorganizowany charakter i pokazały, że możliwy jest dialog zamiast konfrontacji. Choć nie miały jeszcze skali Sierpnia, bez Lubelskiego Lipca trudno wyobrazić sobie narodziny Solidarności. To dobry przykład, że wydarzenia pozornie lokalne mogą mieć znaczenie znacznie wykraczające poza miejsce, w którym się rozpoczęły.

Po wprowadzeniu stanu wojennego komunistyczne państwo angażowało ogromne siły, by odnaleźć jednego człowieka – Zbigniewa Bujaka, przewodniczącego Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Ten groźny „przestępca polityczny” był jedną z najbardziej poszukiwanych osób w kraju. Jego zatrzymanie stało się dla władz PRL priorytetem. Przez ponad cztery lata pozostawał jednak nieuchwytny. Skala zaangażowanych sił mówi wiele o słabości systemu, który bardziej niż cegokolwiek obawiał się ludzi cieszących się społecznym zaufaniem.

W tym numerze wracamy do tych historii nie po to, by szukać prostych analogii do współczesności. Każda z nich wydarzyła się w innych okolicznościach i wymaga osobnego spojrzenia. Łączy je jednak doświadczenie odpowiedzialności – za drugiego człowieka, za wspólnotę i za państwo.

Taki jest również cel tego numeru. Nie tylko przypominać wydarzenia sprzed lat, ale pokazywać ludzi, którzy musieli podejmować decyzje w czasach, gdy nie było łatwych wyborów. Ich doświadczenia pozostają aktualne również dzisiaj. Warto do nich wracać, bo pomagają lepiej rozumieć zarówno historię, jak i wyzwania współczesności.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



DRUGA STRONA „63 DNI CHWAŁY”



Wojciech Grzędziński
FOT. M. MAZZURKIEWICZ

Wojna nie zawiesza codziennego życia – ona je potwornie wypacza. Uderza w tych, którzy najmniej chcą się w niej znaleźć. Dotyka cywilów, zwykłych, szarych ludzi. O tym musimy pamiętać i robić absolutnie wszystko, aby do wojen nie dopuszczać – powiedział Wojciech Grzędziński, fotoreporter i dokumentalista, laureat World Press Photo.

W albumie „Fotograf na wojnie. 36 klatek” pokazuje pan Powstanie Warszawskie z perspektywy dwudziestu trzech sprawozdawców Armii Krajowej. Tym razem pana zadaniem nie był wybór własnych kadrów, lecz edycja cudzych zdjęć. Jak odnalazł się pan w tej roli?

Edycja materiału fotograficznego to moja codzienność – przeglądanie kła-

syki czy zgłębianie dorobku dokumentalistów wojennych jest dla mnie czymś zupełnie naturalnym. Zdecydowanie łatwiej edytuje się jednak cudze kadry. Praca z nimi poruszała we mnie osobiste struny; dzięki własnym doświadczeniom z rejonów konfliktów zbrojnych widziałem i czułem w tych obrazach znacznie więcej. Mogłem wręcz dostrzec to, co autorzy celowo

lub z konieczności pozostawili poza kadrem.

Co było najciekawsze w pracy archiwalnej?

Najbardziej pasjonujące, a zarazem zaskakujące okazało się odkrywanie mało znanych twórców z Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Nagle poznałem ludzi, o któ-



W albumie wydanym przez Muzeum Powstania Warszawskiego „Fotograf na wojnie. 36 klatek” pokazano powstanie z perspektywy 23 prasowych sprawozdawców wojennych – fotoreporterów działających w strukturach Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK

Zdjęć z samej linii frontu jest niewiele, ponieważ fotoreporterzy rzadko tam docierali. Większość kadrów pokazuje zaplecze walk. Co te momenty normalności mówią o człowieku w czasie wojny?

Skupienie się na powstańczej codzienności było naszym świadomym wyborem. Ukazanie zaplecza walk pozwala dostrzec w powstańcach przede wszystkim ludzi, a nie tylko żołnierzy – ich potrzebę bliskości, porządku czy chwilowego wytchnienia w cieniu katastrofy. Mniej popularne kadry budują znacznie głębszą, intymną opowieść o tamtych wydarzeniach. Chcieliśmy przełamać stereotyp postrzega-

rych istnieniu nie miałem pojęcia. W powszechnym obiegu funkcjonuje zaledwie kilka ikonicznych ujęć z Powstania Warszawskiego i parę głośnych nazwisk. Tymczasem w strukturach powstańczych działał sztab blisko czterdziestu twórców, z czego około trzydziestu stanowili fotografowie i filmowcy. Co poruszające, tożsamość części z nich do dziś pozostaje nieznana.

Powstańcy mieli na rolce filmu zaledwie 36 klatek. Pan, pracując w Ukrainie, Gruzji czy innych strefach konfliktów, może robić nieograniczoną liczbę zdjęć. Czy ta cyfrowa wolność pomaga w pokazywaniu prawdy, czy może to dawne ograniczenie zmuszało do głębszego patrzenia?

Aparat cyfrowy to tylko narzędzie. Mam to szczęście, że zaczynałem karierę w czasach fotografii analogowej i przez kilka pierwszych lat pracowałem wyłącznie na negatywach. Z tego powodu technologia – to, czy zdjęcie powstaje cyfrowo, czy na kliszy – nie ma dla mnie kluczowego znaczenia.

Najważniejszy jest sposób poruszania się w terenie, patrzenia, wyszukiwania tematów i wychwytywania detali. Istotne jest podnoszenie aparatu



do oka w momentach przełomowych, ale też tych z pozoru błahych, ponieważ to one budują całościowy obraz sytuacji. Dzięki owym pozornie nieistotnym kadrom wiemy dziś, jak naprawdę wyglądała powstańcza codzienność. Zobaczyliśmy ludzi kąpiących się w zbiorniku przeciwpożarowym i zrozumieliśmy, jak ogromnym problemem było zdobycie choćby mleka dla dzieci. To są właśnie te mikroopowieści, które fotoreporterzy sami wyszukiwali. Chodzili, szukali i rejestrowali niuanse, dzięki którym mamy dziś pełniejszy obraz tych sześćdziesięciu trzech dni.

nia wojny wyłącznie przez pryzmat pierwszej linii frontu, bo to właśnie na zapleczu tętniło prawdziwe, dramatyczne życie.

Odrzucenie frontowej perspektywy pozwala dostrzec, jak głęboki przewrót dokonał się w życiu codziennym mieszkańców Warszawy 1 sierpnia.

Cywilie cierpią najmocniej w każdej wojnie i tak samo było w Powstaniu Warszawskim. Oni nie byli przygotowani na to, co ich spotkało. Nie pisali się na ten los, a wybuch walk zaskoczył ich tak samo, jak wszystkich innych – tylko nieliczni wiedzieli, kiedy

dokładnie nastąpi godzina „W”. Nagle zwykli ludzie znaleźli się w rzeczywistości drastycznie odmiennej nawet od tej z okresu okupacji. Po pierwszych chwilach euforii, poczuciu wolności i radości z wyparcia Niemców, przyszło bolesne zderzenie z rzeczywistością: brakiem wody, prądu i jedzenia. Z tymi wszystkimi dramatycznymi problemami ludzie musieli sobie jakoś radzić.

Z drugiej strony szukali pokrzepienia w wierze, wspólnej modlitwie podwórkowej czy w lekturze prasy powstańczej, która nagle zaczęła być drukowana i kolportowana w Warszawie. W albumie pokazujemy te codzienne zmagania z brutalną rzeczywistością. Mam wrażenie, że mówi się o nich zbyt mało, ponieważ główna narracja historyczna skupia się na „63 dniach chwały”. Nie negując tego patriotycznego przekazu, uważam, że warto zobaczyć również drugą stronę – te same 63 dni, w których cywile ofiarnie pomagali, ale też potwornie cierpieli.

Pokazywanie wojennej tragedii zawsze rodzi dylemat: ile drastycznych obrazów cierpienia pokazać odbiorcy, by go nie zniezulić, lecz przekazać mu prawdę?

Dla mnie to nie jest dylemat – uważam, że nie chodzi o unikanie pokazywania cierpienia. Skoro ono istnieje, to dlaczego mielibyśmy je ukrywać i oszukiwać odbiorcę? Jeśli je pomijamy, zacieramy prawdę o rzeczywistości. Trzeba pokazywać prawdę, w tym zmagania uwiecznione na klatkach filmowych. W albumie umieściliśmy na przykład zdjęcie matki karmiącej noworodka. Pamiętajmy, że w czasie powstania rodziły się dzieci. Kobiety nie przestały przecież zachodzić w ciążę ani rodzić z powodu wybuchu walk. Porody odbywały się w prymitywnych warunkach szpitali polowych, a bardzo często po prostu w piwnicach. Poruszyło mnie to, gdy pracowałem



w Ukrainie. Poznałem tam ludzi, którzy przyjmowali porody w schronach i piwnicach. Wojna nie zawiesza codziennego życia – ona je potwornie wypacza.

Jak podczas dokumentowania ludzkiego nieszczęścia udaje się panu balansować między zawodowym dystansem a emocjonalnym zaangażowaniem?



Zawsze staram się zachowywać dystans. Aparat fotograficzny daje niesamowitą przepustkę do wchodzenia w sytuację, w których bez niego człowiek byłby postrzegany jako intruz.

Daje nam on pewną „legitymację” do towarzyszenia ludziom w momentach skrajnie trudnych, ale czasem też bardzo szczęśliwych. Bez aparatu byłibyśmy po prostu podglądaczami.



Mam wrażenie, że samo narzędzie buduje barierę ochronną. Jeśli mówimy o realiach Powstania Warszawskiego, fotografowie pracowali wówczas najczęściej na aparatach Leica III. Patrząc przez celownik, widzi się już gotową ramkę kadru. Nie patrzy się na świat bezpośrednio, lecz przez wizjer. To spojrzenie tworzy bufor. Prawda jest taka, że im lepszy fotoreporter, tym sprawniej potrafi taki bufor wokół siebie zbudować. Tylko zachowując trzeźwość umysłu i chłodne spojrzenie na sytuację, fotograf jest

w stanie wykonać dobre, czytelne zdjęcia i rzetelnie zrealizować swoje zadanie. Dystans jest, niestety, bezwzględny warunkiem wykonywania tego zawodu.

Zdjęcia z 1944 roku miały przede wszystkim krzepić serca. Współcześni strony konfliktów powszechnie używają obrazów do celów propagandowych. Jak udaje się panu zachować niezależność obiektywu?

Każda ze stron konfliktu próbuje przedstawić siebie w wyidealizowany sposób, dlatego o pełen obiektywizm jest niezwykle trudno. Mam nawet wrażenie, że absolutny obiektywizm to mrzonka. Jedyne, co możemy zrobić, to dbać o rzetelność przekazu, nie manipulować obrazem i pokazywać rzeczywistość taką, jaka ona jest. To absolutny fundament mojego zawodu. Bez tego byłbym jedynie propagandystą lub klakierem jednej ze stron. Jako dziennikarz i fotoreporter, wychowany na starych zasadach prawdy i rzetelności zawodowej, staram się po prostu wykonywać swoją pracę najlepiej, jak potrafię.

Czy po powrocie z linii frontu musi pan na nowo układać sobie życie i uczyć się tzw. normalności?

Spędziłem bardzo dużo czasu w Ukrainie, pracowałem też na innych frontach, więc traktuję to po prostu jako element mojej pracy. Nie muszę układać sobie życia na nowo, bo to mój zawód. Mam dokąd wracać – do rzeczywistości, w której nie ma, i mam nadzieję, że nie będzie wojny.

Niestety, wielu moich znajomych, którzy zostali zmobilizowani lub ochotniczo wstąpili do armii i walczą w Ukrainie, nie ma takiego komfortu. Oni rzeczywiście będą musieli układać sobie wszystko od nowa, ponieważ ich dotychczasowe życie zostało brutalnie przerwane przez pełnoskalową inwazję. To nie podlegało dyskusji – poszli walczyć za swój kraj, nie mając innego wyboru. Dziennikarz czy fotograf wybór ma zawsze. Może pojechać na front albo odmówić. To my sami podejmujemy decyzję, że chcemy relacjonować i opowiadać akurat tę historię.

Gdyby miał pan wybrać jedną najważniejszą lekcję, która płynie z albumu „Fotograf na wojnie. 36 klatek”, jak by ona brzmiała?

Największą wartością albumu jest to, że umożliwia on hipotetyczny spacer przez ogarniętą powstaniem Warszawę. Oglądając materiały, widzimy nie tylko walkę, o której powiedziano już bardzo dużo, lecz także inne aspekty życia wplecione w kadry przedstawiające walczących chłopców i dziewczęta. Jeśli miałbym wyciągnąć z tego jakąś lekcję, brzmiałaby ona tak: wojna zawsze uderza w tych, którzy najmniej chcą się w niej znaleźć. Dotyka cywilów, zwykłych, szarych ludzi. O tym musimy pamiętać i robić absolutnie wszystko, aby do wojen nie dopuszczać.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**



fot. materiały prasowe Muzeum Powstania Warszawskiego

Powstanie? To dla nas błogosławieństwo...

TEKST | Waldemar Kowalski

Gdy w powstańczej Warszawie rozprawiano się z „buntownikami”, w Berlinie tworzone spójną strategię informacyjną, która miała odwrócić uwagę od systematycznie dokonywanych zbrodni na bezbronnych cywilach. Jej efektem była ofensywa propagandowa rozpętana przez Niemców na łamach gazet, w radiu i oficjalnych komunikatach.

Za sterami tej wielkiej, prężnie działającej maszyny stał Joseph Goebbels, jeden z ulubieńców Hitlera, minister propagandy i oświecenia publicznego III Rzeszy, autor „Dzienników”. Usilnie przekonywał, że zagłada Warszawy dokonuje się rękoma samych Polaków, przy bierności ich zachodnich sojuszników oraz po myśli Stalina – największego beneficjenta tej tragedii.

Oskarżeniom pod adresem „bandytów”, Rządu RP na uchodźstwie, aliantów oraz Związku Sowieckiego

towarzyszyła rzekoma troska o losy setek tysięcy bezbronnych cywilów zamieszkujących niszczone z premedytacją miasto. Nie przeszkadzało to Goebbelsowi zapewniać, że... niemieccy żołnierze zachowują się w Warszawie „bardzo przyzwoicie”.

Ognisko zła i zamętu

Już na długo przed wybuchem Powstania Warszawskiego niemieckie władze uważały stolicę za największe źródło oporu na okupowanych ziemiach polskich. – *Mamy w tym kraju jeden*

punkt, z którego pochodzi wszystko zło: to Warszawa. Gdybyśmy nie mieli Warszawy w Generalnym Gubernatorstwie, to nie mielibyśmy 4/5 trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i pozostaje ogniskiem zamętu, punktem, z którego rozprzestrzenia się niepokój w tym kraju – obwieścił w końcu 1943 roku w Krakowie generalny gubernator Hans Frank.

Zgodnie z wcześniejszymi niemieckimi planami Warszawa miała zostać zdegradowana do roli prowincji. Kie-

dy jednak 1 sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie, w Berlinie zapadła decyzja o ostatecznej rozprawie z „niepokornym” miastem. Choć walki komplikowały sytuację militarną Wehrmachtu, przywódcy III Rzeszy bardzo szybko dostrzegli w nich szansę na rozwiązanie rzekomo odwiecznego problemu z „niesfornymi” Polakami.

Heinrich Himmler miał zwrócić się wówczas do Hitlera słowami: *Mój Führerze, pora jest dla nas niezbyt pomyslna. Z punktu widzenia historycznego jest błogosławieństwem, że Polacy to robią. Po pięciu, sześciu tygodniach wybrniemy z tego. A po tym Warszawa, stolica, głowa, inteligencja tego byłego 16–17-milionowego narodu Polaków będzie zniszczona, tego narodu, który od 700 lat blokuje nam Wschód i od czasu pierwszej bitwy pod Tannenbergiem leży nam w dro-*



dze. A wówczas historycznie polski problem nie będzie już wielkim problemem dla naszych dzieci i dla wszystkich, którzy po nas przyjdą, ba, nawet już dla nas.

Hitler nie zwlekał z odpowiedzią. Nakazał mordować wszystkich mieszkańców Warszawy bez względu na wiek i płeć oraz zrównać miasto z ziemią. Dopiero przybyły do miasta kilka dni później gen. Erich von dem Bach-Zelewski ograniczył ten rozkaz, głównie ze względu na to, że masowe egzekucje spowalniały działania jego

oddziałów, które i tak nadal dopuszczały się zbrodni.

„Szatańska gra” Londynu i Moskwy

Wbrew często powtarzanym opiniom wybuch powstania nie był dla Niemców całkowitym zaskoczeniem. Meldunki wywiadowcze przewidywały możliwość zbrojnego zrywu polskiego ruchu oporu. Miasta „bronił” garnizon dowodzony przez gen. Reinera Stahela, który wraz z formacjami policyjnymi i obsługą lotniczą liczył kilkanaście tysięcy ludzi.

Pierwsze dni sierpnia przyniosły jednak sukcesy Armii Krajowej. Na wielu budynkach pojawiły się białoczerwone flagi, a Niemcy musieli sprowdzać posiłki. W tym czasie berlińscy propagandyści robili wszystko, aby kłamliwie przedstawić przebieg walk, rozgłaszając, że powstanie zostanie błyskawicznie stłumione. Nie minął tydzień, a minister propagandy

Polski ruch podziemny złożył wielką daninę krwi i tymczasem można go spisać na straty

Joseph Goebbels

przekonywał, że opanowanie chaosu to kwestia 48 godzin: *Istnieje nadzieja, że ruch oporu w Warszawie zostanie złamany w ciągu mniej więcej dwóch dni. To byłoby prawdziwe szczęście, bo nasze oddziały nie mogą walczyć, mają wroga na tyłach.*

Walczących Polaków określano mianem młodocianych „bandytów” i „nacjonalistów”, odmawiając Armii Krajowej statusu regularnego wojska. – *Mamy do czynienia z ustawicznie sztywniejącym oporem band nacjonalistycznych, które nawet przy użyciu*

specjalnych środków bojowych nie dają się wyrzucać, bez wielkich strat, z zabetonowanych domów. Użyte tam oddziały niemieckie i jednostki obco-krajowców są źle wyszkolone do takiej walki, ogólnie za stare wiekiem, a personel dowódczy, przy całej swej odwadze, rozporządza niedostatecznym doświadczeniem taktycznym – relacjonowano w jednym z meldunków dowództwa niemieckiej 9. Armii.

W międzyczasie organ prasowy partii narodowosocjalistycznej „Völkischer Beobachter” donosił o „szatańskiej grze” między Londynem a Moskwą, które „podburzają Warszawę do powstania i pozostawiają ją na łasce losu”. Podkreślano przy tym, że Churchill i Stalin zwodzili Polaków, obiecując im pomoc zbrojną. Ich nieczyste intencje i wyrachowana gra, poparta politycznym realizmem, miały dla Polaków opłakane skutki. Niemcy wprost przestrzegali, że przy milczeniu mocarstw zachodnich Stalin dążył do podstępnego opanowania całej Europy. – *Sprawa Warszawy jest już teraz omawiana przez nas w prasie. Rozdzielamy sprawiedliwie winę po obu stronach; oskarżamy zarówno Anglików, jak i bolszewików. Bez wątpienia bowiem obie strony, działając cynicznie i bez skrupułów, popchnęły do tej krwawej łaźni zarówno polskich emigrantów w Londynie, jak też polską radę narodową. To może być dla nas tylko przyjemna rzecz, albowiem w Generalnym Gubernatorstwie nowe powstanie tak szybko nie wybuchnie. Warszawski przykład odstrasza wszystkich naśladowców –* pisał Goebbels.

Jakkolwiek by było – dodawał – jedno jest pewne, że wpędzanie polskiego ruchu podziemnego pod górkę nie niemieckich czołgów to również z punktu widzenia strony wroga zbrodnia polityczna pierwszej klasy. W ten sposób polski ruch oporu zostanie bowiem zmieciony z powierzchni ziemi.

„Nie mam żadnego współczucia dla Polaków”

Opór „polskich nacjonalistów” miał zostać złamany... już 5 września – przekonywał szef propagandy III Rzeszy, zupełnie rozmywając przy tym niemiecką odpowiedzialność za zbrodnie w okupowanej stolicy. – W Warszawie w powstaniu chwyciło za broń 20 000 insurgentów. Zostali całkowicie wycięci w pień. Polski ruch podziemny złożył wielką daninę krwi i tymczasem można go spisać na straty. To przede wszystkim Kałmucy, których użyliśmy, siali ogromne spustoszenia, dopuszczając się bestialstwa i gwałtów na kobietach. Natomiast niemieccy żołnierze i funkcjonariusze policji zachowywali się nadzwyczaj poprawnie – pisał Goebbels. Dlatego – jak podkreślał – wszelkie raporty mówiące nawet o 200 tys. ofiar cywilnych w Warszawie należy uznać za „grubą przesadę”.

– Nie mam żadnego współczucia dla Polaków. Zrobiliby lepiej, gdyby się powściągnęli. Gdyby powstanie stało się sukcesem, z pewnością odnotowalibyśmy powstanie na całym jeszcze przez nas okupowanym obszarze Polski. Po tym, jak pucz w Warszawie tak żałośnie się załamał, tego rodzaju niebezpieczeństwo już nie istnieje – obwieszczał ten zaufany współpracownik Hitlera.

Niemieccy propagandziści nie tylko rozmywali odpowiedzialność III Rzeszy za zagładę mieszkańców Warszawy, ale zacierali też prawdę o dokonywanych z premedytacją zniszczeniach w zabudowie miejskiej. Jak tłumaczyli, w gruncie rzeczy Polacy sami sobie byli winni. Uwypuklano przy tym... rzekomo dobrą wolę Niemców, proponujących powstańcom zawieszenie broni na warunkach kombatanckich.

2 października był ostatnim dniem walk o oswobodzenie miasta. Tego dnia Niemcy nadali komunikat wojсковy, informując o wciąż trwających zaciętych bojach z „bandytami”: W

Warszawie po trzygodzinnych walkach stłoczono na niewielkim obszarze północną grupę bandycką [najprawdopodobniej Zgrupowanie AK „Żywiciel” na Żoliborzu – red.]. Jej próby przedarcia się na zachodni brzeg Wisły zostały udaremnione. W centrum Warszawy jest jeszcze kocioł, w którym przebywa generał Bór z dużymi siłami.

Zastanawiać może określenie powstańców jako „bandytów”, skoro Niemcy przyznali im prawa komba-

nuje głęboka rezygnacja. Istnieje bardzo duże oburzenie na dowództwo polskiego ruchu oporu. Również ta okoliczność stanowi niejako przygotowanie dla bolszewizacji ludności polskiej.

Warszawiacy kontra bandyci?

Ważnym aspektem ofensywy propagandowej III Rzeszy było antagonizowanie powstańców i cywilnych mieszkańców rujnowanej stolicy. Prym w tym niecnym procederze wiodł oczy-



tanckie. Niezależnie od tego, widać konsekwencję okupantów gdzie indziej – za każdym razem przedstawiali gehennę Warszawy jako rezultat decyzji samych Polaków, przemilczając własne rozkazy eksterminacji i planowego burzenia miasta.

Nawet po klęsce powstania rzekomo zatroskany o los cywilów Goebbels pisał: Z Warszawy za pośrednictwem Czerwonego Krzyża otrzymuję okropny raport o niedoli. Warszawska ludność płaci drogą i największymi cierpieniami za swoje powstanie. W polskich obozach przejściowych pa-

wiście Goebbels, który tak komentował reakcje warszawiaków na wybuch walk: Jak wydarzenia w Warszawie wpływają na pozostałą polską opinię publiczną, widać po tym, że nasze wezwanie do sypania okopów znalazło znacznie szerszy odzew, niż w ogóle tego oczekiwaliśmy. Przede wszystkim duchowieństwo staje po naszej stronie. Arcybiskup Warszawy [w rzeczywistości biskup pomocniczy i wikariusz kapitulny Antoni Władysław Szlagowski – red.] odwiedził pracujących na szafkach, wywołując ogromne wrażenie swoją obecnością. Naj-

widoczniej przedstawiciele kleru teraz wreszcie zauważają, co im grozi, jeśli bolszewizm rzeczywiście dostanie w swoje ręce Polskę – czytamy w „Dziennikach”.

W rzeczywistości – co Niemcy postanowili skrzętnie przemilczeć – przywołany przez ministra propagandy hierarcha wybrał się na szafkę nie jako polityk, a duszpasterz, tymczasowo zarządzający diecezją warszawską (jako wikariusz kapitulny). Zresztą okupanci kilkukrotnie próbowali go

kiem a nielegalny handel umożliwił nabycie nawet kosztowności i lakoci. Wyżywienie ludności było lepsze niż wyżywienie Niemców. Pracy było dosyć i kto chciał mógł się wzbogacić, podczas gdy dawni właściciele zatrzymali swój dobytek – kłamliwie informował magazyn „Signal” – organ prasowy Wehrmachtu (drukowany w różnych językach, także polskim).

Autorzy podkreślili, że niedola warszawiaków jest wynikiem politycznej zмовy. Winą obarczono sojuszników – „zdradliwych uwodzicieli sztucznie podsycających polskie namiętności”.

Do gazety dołączono kilkunastostronicową wkładkę poświęconą po-

konferują. Dla nas pozostało tylko jedno, umierać, tylko umierać. Nasze najwyższe instytucje wypisują morza atramentu i codziennie zużywają ponad pud farby drukarskiej – czytamy w jednym z wpisów.

Nie wiadomo, czy pamiętnik w ogóle istniał, a jeśli tak – czy był rzeczywiście wytworem jednej z ofiar, czy został sfabrykowany przez Niemców. Pewne jest natomiast, że występują w nim znane już z propagandy wątki zdrady aliantów zachodnich, bierności Armii Czerwonej oraz gehenny „zwykłych” mieszkańców miasta.

Apokalipsa Warszawy miała być dla Polaków odstrasżającą lekcją. Ukaranie miasta, które – jak przekonywano – od setek lat stało na drodze niemieckiej ekspansji, miało być jednocześnie... powodem do dumy.

Dla tych, którzy tłumili powstanie, przewidziano bowiem specjalną nagrodę. W grudniu 1944 roku Hitler ustanowił specjalną tarczę (niem. Warschauschild) z napisem „Warschau 1944”, przedstawiającą orla ze swastyką, trzymającego w szponach węży – symbol powstańców. Mimo że nowe odznaczenie zostało formalnie ustanowione, to z planu jego przyznawania zrezygnowano ze względu na trudną sytuację na froncie.

Po powstaniu Niemcy dokonali dzieła zniszczenia, planowo wyburzając i paląc sporą część lewobrzeżnej Warszawy. Złowieszczo wybrzmiały wówczas m.in. słowa gubernatora Franka, który jeszcze w toku walk oznajmił: *Po tym powstaniu i jego zdławieniu Warszawę spotka zaśluzony los – zupełne zniszczenie*. Wtórował mu sam Himmler, który już po zdławieniu polskiego oporu grzmiał: *To miasto ma całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi i służyć jedynie jako punkt przeładunkowy dla transportu Wehrmachtu. Kamień na kamieniu nie powinien pozostać*. ■



Warszawska ludność płaci drogo i największymi cierpieniami za swoje powstanie. W polskich obozach przejściowych panuje głęboka rezygnacja. Istnieje bardzo duże oburzenie na dowództwo polskiego ruchu oporu

złamać, ten jednak pozostał nieugięty.

Specjalistom od propagandy nie przeszkadzało jednak raz po raz cynicznie podkreślać, że nieprzemyślane zryw z 1 sierpnia 1944 roku budził powszechną odrazę i sprzeciw „zwykłych” warszawiaków, burząc ich dotychczasowy „dobrobyt”. – *Warszawska ludność cywilna została w przeważającej części zaskoczona tymi wypadkami. Warszawa była już przybrała pod niemieckim zarządem widok pokojowy, szkody wojenne z roku 1939 zostały już dawno zapomniane. W sklepach było towarów pod dostat-*

wstaniu, opatrzoną fotografią hrabiny Marii Tarnowskiej, delegowanej przez dowódcę AK gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego do negocjacji z Niemcami. Dodatek specjalny opatrzone wymownym tytułem: „Warszawa. Jak to było w rzeczywistości”. Autor cytuje niejaką Zofię Czarnecką, warszawiankę, domniemaną ofiarę powstania, która miała zginąć pod gruzami jednej z kamienic. Jej pamiętnik ponoć przypadkowo odnaleźli żołnierze Wehrmachtu.

– *Ogłoszono w prasie, że ci w Londynie i w Moskwie konferują, wciąż*



Wierny Piłsudskiemu do końca

gen. Orlicz-Dreszer i jego ostatni lot

TEKST | Norbert Nowotnik

Samolot miał jedynie zatoczyć krąg nad transatlantykiem „Piłsudski” i – jak głosiła późniejsza relacja – zrzucić na jego pokład bukiet kwiatów. 90 lat temu, 16 lipca 1936 roku, nad Bałtykiem rozbiła się maszyna z gen. Gustawem Orliczem-Dreszerem, który leciał do Gdyni, by z ułańską fantazją powitać wracającą z Ameryki żonę. Mówiono, że był kawalerzystą o temperamentie Kmicica, bliskim i lojalnym człowiekiem Piłsudskiego i działaczem przekonanym, że przyszłość Polski zależy od morza.

Generał był jednym z promiennych działaczy obozu piłsudczykowskiego po Maju 1926 roku, w pełni świadomych (...) skali zagrożeń dla odrodzonego w 1918 roku państwa, które narastały w latach trzydziestych. Potrafił aktywnie szukać środków zaradczych, zarówno w dziedzinie wojskowości, jak i w polityce. Dlatego jego tragiczna śmierć była ogromną stratą nie

tylko dla obozu władzy, ale także dla państwa i armii – podkreślił historyk Przemysław Olstowski w opracowaniu na temat generała.

Dzieciństwo, młodość i Lwów

Gustaw Konstanty Dreszer urodził się 2 października 1889 roku w Jadowie jako drugi z czterech synów Jana Augusta Dreschera i Emilii z Ruschów. Dorastał w Częstochowie, gdzie ojciec

prowadził kancelarię adwokacką, a następnie notarialną. Był to patriotyczny dom inteligencji, choć nie katolicki – rodzina należała do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Jan August działał również w tajnej Lidze Narodowej, dlatego pierwsze polityczne sympatie młodego Gustawa kierowały się ku obozowi Romana Dmowskiego.

W 1905 roku uczestniczył w strajku szkolnym i bojkocie rosyjskiej szkoły –

doświadczeniu, które ukształtowało pokolenie przyszłych uczestników walk o niepodległość. Po maturze w 1908 roku wyjechał na studia prawnicze do Lwowa, lecz po pół roku przeniósł się do belgijskiego Liège, gdzie studiował handel i działał w or-

życie pozostanie niespełnionym marzeniem. (...) Nie oznaczało to jednak, że masowo przechodzili do obozu Józefa Piłsudskiego (...). Reakcją wielu młodych ludzi, takich jak Gustaw Dreszer, jest wycofanie się z życia politycznego i podążenie wciąż w takim

Spotkanie z Piłsudskim, Legiony i I wojna światowa

W latach 1911–1913 Dreszer służył jako tzw. jednoroczny ochotnik w rosyjskim 14. Mitawskim Pułku Huzarów, zdał egzamin oficerski i został chorążym. Przypisywano mu słowa: „Na to mnie uczą sztuki wojennej, żebym umiał się kiedyś bić z nimi”. Po wybuchu I wojny światowej wrócił do pułku i w rosyjskim mundurze znalazł się naprzeciw oddziałów Piłsudskiego. Decyzję o dezercji przyspieszyła jego przymusowa obecność przy egzekucji młodego polskiego skauta, zwiadowcy Strzelców. 14 sierpnia 1914 roku Dreszer wraz z koniem przedostał się przez bagnistą Nidę, a kilka dni później stanął przed Piłsudskim i poprosił o przydział do piechoty. Usłyszał: „Pójdziecie do kawalerii” i tak został osiemnastym ułanem Władysława Beliny-Prażmowskiego, przyjmując pseudonim „Orlicz”.

– Wielką jest zaiste zasługą Beliny (...), że mogłem wówczas posiadać dane o nieprzyjacielu. Opasałem wiadomymi szerokie półkole dookoła Kielc tak, że istotnie byłem spokojny. Belina dokazywał po prostu cudów. Biedni ułani! Na siodłach zdatnych do spacerów, niewytrenowani do dłuższych marszów, zajeżdżali konie, siedzenia zbijali na kotlety; uzbrojeni w długie, niezdatne do konnej służby karabiny, do krwi rozdzierali sobie plecy, a jednak wytrwale odbywali patrolowanie, robiąc niekiedy 60–80 km dziennie w różnych kierunkach – wspominał po latach Piłsudski w „Moich pierwszych bojach”.

Sam Dreszer, który szybko zaczął dowodzić plutonem, szwadronem i dywizjonem, wspominał mieszaninę mundurów i ubrań cywilnych, słabe uzbrojenie oraz nieujężdżone konie. Oddział przypominał bardziej grupę powstańczych zwiadowców niż regularną kawalerię.



Kazimierz Stamirowski, Marian Żebrowski, Gustaw Orlicz-Dreszer, Józef Piłsudski, Tadeusz Jaroszewicz i Michał Galiński idą na spotkanie z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim, maj 1926 r. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

ganizacjach polskiej młodzieży. Doszedł do najwyższego stopnia wtajemniczenia w Związku Młodzieży Polskiej „Zet”. W 1910 roku organizacja wezwała go do Warszawy, by podtrzymywał bojkot rosyjskich uczelni. Gdy jednak endecja odstąpiła od bojkotu, przyszły generał uczestniczył w demonstracyjnym napiętnowaniu Dmowskiego.

– Młodzi ludzie zaczynają się przekonywać, że projekt Romana Dmowskiego jest piękny, ale jest długi i być może nazbyt wymagający emocjonalnie. Zaczynają myśleć: przecież żyje się tylko raz i czy warto żyć niespełnionym marzeniem? (...) Młodość jest gorliwa i wielu młodych ludzi rozczarowuje się Dmowskim w pierwszej dekadzie XX wieku jako liderem, który być może doprowadzi do tego, że ich

W maju 1926 roku stanął po stronie Piłsudskiego, towarzyszył mu na moście Poniatowskiego, a następnie kierował działaniami wojsk zamachowych

kierunku, który proponuje Dmowski, to znaczy inwestycja w umysł, kształcenie się, poszerzanie swojej wiedzy i budowanie elity – zwrócił uwagę dr hab. Marcin Kruszyński, historyk i współautor biografii gen. Orlicza-Dreszera.

Chelm i wolna Polska

Po zwolnieniu z internowania jesienią 1918 roku Orlicz-Dreszer otrzymał zadanie opanowania Chelma. 2 listopada, na czele miejscowej Polskiej Organizacji Wojskowej i żołnierzy z rozwiązanych polskich korpusów w Rosji, rozbroił około dwutysięczny garnizon austriacki, a następnie przystąpił do formowania oddziałów piechoty i kawalerii. Tydzień później Edward Rydz-Śmigły mianował go majorem. W grudniu 1918 roku i styczniu 1919 roku walczył z wojskami ukraińskimi pod Dołhobyczowem i Krystynopolem, a już w kwietniu jego szwoleżerowie uczestniczyli w odbiciu Wilna z rąk bolszewików. – *Mjr Dreszer, którego znasz, nową sławę zyskał wzięciem Nowego Madiola. Dziwne te meldunki wojska polskiego pisane z humorem: „Wzięliśmy karabiny maszynowe i kilkuset jeńców, stan fizyczny i moralny dobry – idziemy naprzód! Brak spodni”* – pisał 25 lipca 1919 roku do żony mjr Stanisław Rostworowski, kwatermistrz Frontu Litewsko-Białoruskiego.

W kwietniu 1920 roku Orlicz-Dreszer został ciężko ranny pod Malinem, lecz na front wrócił z niezupełnie zagojoną raną. Rostworowski zanotował, że opowiadał o bitwie tak sugestywnie, iż jego relację można byłoby „żywem do felietonu podać”, bo „zupełnie Kmicicowa fantazja w nim siedzi”. Latem 1920 roku, mając 30 lat, dowodził już brygadą, a następnie dywizją jazdy. Juliusz Rómmel oceniał, że na *Virtuti Militari* „zasłużył już tyśiąc razy i powinien go dostać pierwszy”.

Romantyczna strona generała

W środowisku legionowym Orlicz-Dreszer uchodził nie tylko za zdolnego oficera, lecz także za człowieka towarzyskiego, lubiącego teatry, kabarety i modne warszawskie lokale. W 1919 roku w operetce poznał śpiewaczkę Wandę Filochowską. Pobrali

się w lipcu 1921 roku, jednak bezdzietne małżeństwo z czasem się rozpadło. Według przyjaciół ułan Piłsudskiego był sentymentalny i łatwo się zakochał. Przełomem było poznanie na statku „Pułaski” Olgi Elviry Stalińskiej – Amerykanki irlandzkiego pochodzenia, dwukrotnej rozwódki i matki czterech córek. W kwietniu 1934 roku pierwsze małżeństwo Dre-

w Sulejówku wygłosił słynne przemówienie, które odebrano jako polityczną deklarację części wojska: *Chcemy, byś wierzył, że gorące chęci nasze, byś nie zechciał być w tym kryzysie nieobecny, osierocając nie tylko nas, wiernych Twoich żołnierzy, lecz i Polskę, nie są tylko zwykłymi uroczystościowymi komplementami, lecz że niesiemy Ci prócz wdzięcznych serc*

Marszałek Józef Piłsudski w samochodzie Rolls-Royce odbiera raport od gen. Gustawa Orlicza-Dreszera przed Świętem Kawalerii.
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)



sza unieważnił sąd konsystorski Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Wilnie, co wiązało się ze zmianą wyznania generała. Tydzień później Orlicz-Dreszer i Elvira zawarli ślub cywilny w Gdyni. Właśnie ją miał powitać z powietrza podczas ostatniego lotu.

Deklaracja w Sulejówku

W 1924 roku, przed ukończeniem 35 lat, Dreszer został generałem brygady i dowódcą 2. Dywizji Kawalerii w Warszawie. Był już wówczas jednym z najważniejszych wojskowych współpracowników Piłsudskiego oraz łącznikiem Marszałka z jego zwolennikami w armii. 15 listopada 1925 roku podczas wizyty kilkuset oficerów

i pewne, w zwycięstwach zaprawione szable. Za to wystąpienie przeniesiono go do Poznania, lecz decyzję szybko cofnięto. W maju 1926 roku stanął po stronie Piłsudskiego, towarzyszył mu na moście Poniatowskiego, a następnie kierował działaniami wojsk zamachowych w Warszawie. Bratobójczy charakter walk przypomniawszy mu podczas nabożeństwa żałobnego ks. Józef Panaś, który miał zerwać z munduru odznaczenia i rzucić je pod nogi generała.

Działacz morski

W 1930 roku Orlicz-Dreszer stanął na czele Ligi Morskiej i Rzecznej, która wkrótce przyjęła nazwę Ligi Morskiej i Kolonialnej. Organizacja pod jego



kierownictwem stała się ruchem masowym, promującym rozbudowę floty, żeglarstwo i wychowanie morskie młodzieży, ale także osadnictwo i kolonialne aspiracje II RP. Dreszer widział w morzu narzędzie bezpieczeństwa, handlu i wzmocnienia pozycji państwa. Liga wydawała książki i czasopisma, organizowała wystawy, wykłady, filmy propagandowe oraz masowe imprezy. Generał wspierał też Akademicki Związek Morski, żeglarstwo harcerskie i szkolenie młodzieży. Przypisywano mu hasło: „Ubierzmy Gdynię w las masztów”. Jako inspektor armii przygotowywał też studia operacyjne i prowadził gry wojenne, których wyniki wskazywały na konieczność zwiększenia roli lotnictwa



Pogrzeb gen. Gustawa Orlicza-Dreszera. Trumnę z ciałem generała przewożono na lawecie armatniej FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Było w tym jakieś fatum: szef Ligi Morskiej i generał lotnik w jednej osobie nie mógł chyba znaleźć bardziej symbolicznej śmierci

plk January Grzędziński

i broni pancernej. 9 lipca 1936 roku, na tydzień przed śmiercią, został inspektorem obrony powietrznej państwa.

Katastrofa pod Orłowem

15 i 16 lipca 1936 roku Orlicz-Dreszer przebywał służbowo w Grudziądzu. Po południu wyleciał do Gdyni samolotem RWD-9. Towarzyszyli mu ppłk Stefan Loth i pilot kpt. Aleksander Łagiewski. Żona generała wracała ze Stanów Zjednoczonych transatlantykiem „Piłsudski”. Według relacji Dreszer wysłał jej przed startem telegram, zapowiadając powitanie z powietrza; planował zatoczyć krąg nad statkiem i rzucić bukiet kwiatów.

Maszyna pojawiła się nad wodą w rejonie Orłowa. Leciąca nisko, po

czym gwałtownie straciła wysokość i rozbiła się o powierzchnię morza. Akcję ratunkową rozpoczęto szybko, lecz wszyscy trzej mężczyźni zginęli. Przyczyny katastrofy nie zostały jednoznacznie wyjaśnione. Wskazywano na gwałtowny podmuch wiatru; komisja miała wykluczyć awarię silnika. Opowieść, że generał zamierzał wylądować na wodzie i czekać na żonę z kwiatami, pozostała częścią legendy, której źródła nie pozwalają potwierdzić. – *Było w tym jakieś fatum: szef Ligi Morskiej i generał lotnik w jednej osobie nie mógł chyba znaleźć bardziej symbolicznej śmierci* – stwierdził cytowany przez Olstowskiego plk January Grzędziński, jeden z pamiętnikarzy tamtych czasów.

Pogrzeb odbył się 20 lipca na cmentarzu Marynarki Wojennej na Oksywiu z udziałem prezydenta Ignacego Mościckiego i marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Według późniejszej relacji miejscowy proboszcz nie chciał wpuścić do kościoła trumny rozwodnika i konwertyty, więc oficerowie wcześniej wymontowali drzwi, choć to również należy traktować jedynie jako anegdotę. W 1939 roku szczątki generała przeniesiono do mauzoleum z napisami „Żołnierz Komendanta” i „Strażnik Morza”. Dwa miesiące później budowlę zniszczyli Niemcy. ■

1919
1921



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Polska Wojskowa Misja Zakupów w Paryżu



dr Piotr Uwijała FOT. AIPN

Była najważniejszą zagraniczną placówką wojskowo-dyplomatyczną II Rzeczypospolitej w czasie wojny polsko-sowieckiej 1919–1921. Organizowała dostawy broni i wyposażenia, które pozwoliły Polsce prowadzić walkę z Rosją sowiecką i wywalczyć korzystny kształt wschodniej granicy – podkreśla historyk dr Piotr Uwijała.

Polska Wojskowa Misja Zakupów w Paryżu – wydaje się, że temat ten, choć ważny, wciąż jednak jest mało znany...

Uważam, że rozważając zagadnienia szeroko pojmowanej tematyki okresu odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku oraz walk o ukształtowanie jej granic w latach 1918–1921, większość historyków skupiała się do tej pory przede wszystkim na aspek-

cie działań militarnych, szczegółowej charakterystyce przebiegu poszczególnych kampanii wojennych oraz bitew, a także ukazaniu bohaterstwa polskiego żołnierza.

Skąd wzięła się koncepcja powołania tego typu misji?

Odbudowa i walka o nowe granice niepodległego państwa polskiego w latach 1918–1921 rozpoczęły się w nie-

zwykle trudnych warunkach gospodarczych. Co niezwykle istotne, ziemie wchodzące pod władanie polskiej administracji państwowej były bardzo dotknięte rabunkową polityką okupantów i działaniami wojennymi podczas I wojny światowej, co spowodowało olbrzymie straty materialne i demograficzne. Stosowana przez Rosjan taktyka spalanej ziemi i przymusowej ewakuacji części ludności w latach

1914–1915, a następnie bezwzględna eksploatacja prowadzona przez okupacyjne władze niemieckie i austriackie spowodowały olbrzymie szkody we wszystkich działach gospodarki.

Na obszarach opanowanych przez Polaków nie było fabryk broni i amunicji. Zaborcy z premedytacją nie budowali ich na ziemiach polskich. Uważali, że Polacy będą mogli wykorzystywać je do walki powstańczej przeciwko nim. Większość mniejszych zakładów, które mogłyby pracować na potrzeby armii, została pod-

niszczyła także wszelkie pozostałe urządzenia i maszyny produkcyjne oraz podpałała galicyjskie szyby naftowe. Świadomie niszczone obiekty przemysłowe, dworce, linie kolejowe, budynki folwarczne i uprawy. Z fabryk wywożono do Rosji całe maszyny i ich części, zwłaszcza wyroby miedziane, ze szpitali zabierano wszelkie lekarstwa, opatrunki i narzędzia chirurgiczne, a z budynków rządowych – wartościowe przedmioty historyczne.

Czego nie zniszczył zaborca rosyjski, tego dokonali Niemcy i Austriacy, którzy drogą rekwizycji lub przymu-

Jak wyglądały jej początki?

Kompletowanie składu osobowego Misji i jej wyjazd do Francji zostały zapoczątkowane m.in. listem z 3 lutego 1919 roku, skierowanym przez barona Leopolda Kronenberga juniora do Banku Handlowego w Warszawie. Następnie, 10 marca 1919 roku, bank przekazał sprawę drogą oficjalną do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Trafiła ona do Departamentu Gospodarczego Ministerstwa Spraw Wojskowych, który zorganizował Misję Gospodarczą i tak – po dołączeniu do niej delegatów innych ministerstw – powstał załazek Polskiej Wojskowej Misji Zakupów.

Jak ważne było to powołanie Misji i na czym polegała jej działalność?

Organizacja formowała się stopniowo, a ostatecznego kształtu nabrała dopiero po objęciu stanowiska prezesa PWMZ przez gen. Józefa Pomiankowskiego w listopadzie 1919 roku. Podstawową grupę członków Misji stanowili doświadczeni, dobrze wykształceni i znający języki obce oficerowie Wojska Polskiego oraz pracownicy cywilni przybyli z Polski lub wywodzący się ze środowiska Polonii we Francji.

W szczytowym momencie działalności Misji, czyli w 1920 roku, w jej skład wchodziło ponad stu żołnierzy i pracowników cywilnych, a dodatkowo do dyspozycji miała ona dużą liczbę żołnierzy polskich Batalionów Wartowniczych, których zadaniem było pilnowanie magazynów na terenie Francji oraz konwojowanie transportów do Polski.

Czy były jakieś problemy w relacjach z Francuzami?

Francja była jednym z niewielu państw, którym w 1919 roku zależało na szybkim wzmocnieniu polskiej siły zbrojnej. W trakcie pierwszego miesiąca działalności Misja musiała jednak mierzyć się z francuską biu-



Piechota polska w Bitwie Warszawskiej FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

czas wojny zniszczona lub celowo zdewastowana.

Które obszary były dotknięte najbardziej?

Przemysł Królestwa Kongresowego. W 1915 roku ewakuowano w głąb Rosji ponad 150 fabryk i zakładów przemysłowych wraz z wykwalifikowanym 70-tysięcznym personelem. Wycofując się armia carska celowo

sowego wykupu systematycznie demontowali i wywozili z polskiej ziemi pozostały park maszynowy, urządzenia fabryczne oraz zgromadzone zapasy towarów i surowców. Całkowite straty przemysłu polskiego były ogromne. W 1919 roku oszacowano je na kwotę 10 miliardów franków szwajcarskich. Tutaj zaczyna się historia działania Polskiej Wojskowej Misji Zakupów w Paryżu...

rokracją, która powodowała liczne utrudnienia i opóźnienia, oraz z narzucaniem przez Francuzów zawyżonych cen za broń i amunicję.

Wsparcie rządu francuskiego dla sprawy polskiej było w tamtym czasie nieocenione, jednak zdarzały się sytuacje, w których Francuzi wykorzystywali zależność Polski od dostaw wojskowych. W pierwszych miesiącach działalności polskiej Misji w Paryżu oferowali Polakom sprzedaż używanych karabinów po bardzo wysokich cenach, niejednokrotnie wyższych niż



„Walczyć, ale czym?”, wystawa o działalności Polskiej Wojskowej Misji Zakupów w Paryżu
FOT. PIOTR ŻYCIENSKI / IPN (2)

ceny nowych karabinów produkowanych i oferowanych do sprzedaży np. w Austrii. W tym przypadku upór szefa Misji, który nie zgadzał się na zakupy po takich cenach, doprowadził do ich obniżenia.

Również pierwsza partia 45 używanych francuskich samolotów dostarczonych do Polski wzbudziła konsternację, gdyż okazało się, że większość maszyn była tak zużyta, iż w ogóle nie nadawała się do wykorzystania bojowego. W ten sposób strona francuska próbowała, w ramach kredytowanej sprzedaży materiału wojennego Polsce, pozbyć się z korzyścią dla siebie różnego rodzaju wojennego złomu. W kolejnych miesiącach opracowano i wdrożono specjalną procedurę kontroli zakupu i odbioru broni, amuni-

cji oraz innego sprzętu i wyposażenia z francuskich magazynów wojskowych, aby nie dopuścić do wywozu do Polski materiału wyeksploatowanego.

Jaki był tego efekt?

Partie przesyłanych materiałów wojennych były już wyselekcjonowane i sprawdzone przez polskich żołnierzy służących w PWMZ w Paryżu. Rząd francuski uzależniał przychylność w sprawie dostaw wojskowych od uprzywilejowanego traktowania francuskich przedsiębiorstw i inwestorów w Polsce. Pomoc udzielana przez Francję nie była pomocą bezinteresowną ani pomocą darmową, o czym nie należy zapominać.

Odrodzone w 1918 roku państwo polskie potrzebowało silnej armii, ta w dwa lata rozbudowała się z 30 tys. do aż 900 tys. żołnierzy. Jak duży wpływ w tym zakresie miała PWMZ w Paryżu?

Do stycznia 1919 roku budowę armii oparto na werbunku ochotniczym. Przyjęta metoda okazała się skuteczna, gdyż napływ ochotników odpowiadał realnym możliwościom ich wyekwipowania, a do armii trafiali żołnierze wykazujący rzeczywisty zapał oraz gotowość do przezwycięzania pojawiających się trudności i niedostatków w wyposażeniu. Ich liczba nie wystarczała jednak do utworzenia silnej i liczebnie dużej armii. Skutecz-

ność pracy PWMZ w Paryżu miała ogromny wpływ na wzrost liczebności Wojska Polskiego. Realizowane przez nią dostawy pozwoliły na systematyczne zwiększanie stanu etatowego polskiej armii, najpierw do 584 tys. żołnierzy w sierpniu 1919 roku, następnie do 750 tys. w kwietniu 1920 roku, a ostatecznie – wraz z napływającymi w lipcu i sierpniu 1920 roku dostawami morskimi – do stanu 950 tys. żołnierzy we wrześniu 1920 roku.

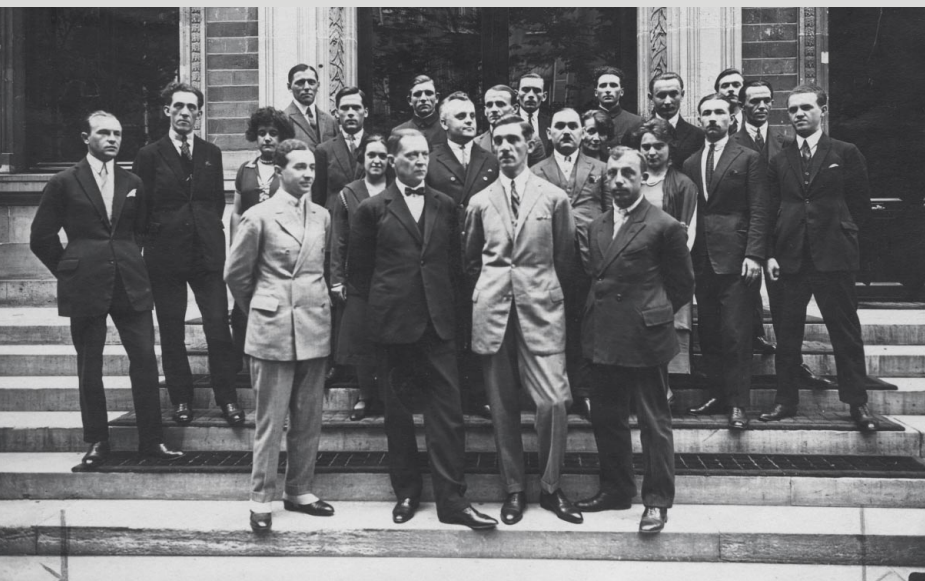
Dostawy broni i amunicji, umundurowania, ekwipunku oraz sprzętu wojkowego umożliwiały bieżące for-

W pierwszym okresie funkcjonowania Misji do realizacji dostaw materiału wojennego do Polski wykorzystywano głównie kolej. Pociągi kierowano do Polski różnymi trasami, co było jednym z elementów procesu skutecznego utrzymania kilku niezależnych łańcuchów dostaw z terenu Francji i Włoch.

Wypracowano również skuteczny model eskortowania transportów kolejowych przez polskich żołnierzy, którzy mieli za zadanie zapewniać ochronę polskiego materiału w czasie przejazdu przez inne kraje. Dodat-

głównie żywność lub materiał przeznaczony na potrzeby ludności cywilnej w Polsce. Od sierpnia 1920 roku, już po wystąpieniu blokady możliwości przejazdu polskich pociągów wojkowych trasą przez Niemcy i Czechosłowację, to właśnie transporty morskie stanowiły najbardziej wydajny łańcuch dostaw dla polskiej armii.

Niezwykle istotna była wzorowa praca logistyczna w Polsce, gdzie po dotarciu zagranicznego materiału wojennego trzeba było dokonać jego podziału pomiędzy poszczególne oddziały, zważając na to, że konkretny rodzaj amunicji musiał trafić do polskich jednostek uzbrojonych w odpowiadający mu rodzaj broni. Nie było to łatwe zadanie, gdyż w tym czasie Wojsko Polskie wykorzystywało kilkadziesiąt różnych rodzajów karabinów, m.in. produkcji francuskiej, austriackiej, niemieckiej, włoskiej, rosyjskiej, a nawet japońskiej. Podobna sytuacja występowała w przypadku polskiej artylerii. Jedna pomyłka przy przekierowaniu niewłaściwych dostaw mogła spowodować, że dana jednostka wojskowa utraciłaby zdolność bojową z uwagi na brak amunicji.



Fotografia grupowa członków misji FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

mowanie i dozbrajanie Wojska Polskiego, które dzięki temu stanowiło realną siłę militarną, gotową przeciwstawić się Armii Czerwonej, siłę zdolną wywalczyć niepodległość oraz rozszerzyć i utrzymać granice odrodzonej Rzeczypospolitej. Należy przy tym podkreślić, że zdecydowana większość uzbrojenia pozyskanego przez Polskę w latach 1919–1921 pochodziła właśnie z zakupów dokonanych przez Polską Wojskową Misję Zakupów w Paryżu.

W jaki sposób sprzęt ten dostarczano do Polski?

kowo Polska musiała zapewniać własne stałe dostawy węgla do Austrii i Włoch, aby pociągi z materiałem wojennym mogły sprawnie przemieszczać się na zagranicznych szlakach kolejowych. Brak polskiego węgla powodował natychmiastowe wstrzymanie transportów przez Austriaków lub Czechosłowaków.

W okresie od kwietnia 1919 roku do lipca 1920 roku Misja korzystała z transportu morskiego w bardzo niewielkim zakresie i raczej sporadycznie, wysyłając statki z poszczególnych francuskich portów do Gdańska. Statkami przewożono w tamtym czasie

Zdarzały się też poważne problemy, jak w lipcu 1920 roku, kiedy transporty kolejowe zostały wstrzymane.

Wtedy, w wyniku zintensyfikowanej agitacji komunistycznej w Europie oraz skutecznej działalności sowieckiego wywiadu, jak również wrogości wobec Polski stanowiska Niemiec, zablokowane zostały niemal wszystkie transporty kolejowe, którymi przewożono materiał wojenny pozyskany przez PWMZ w Paryżu. Wcześniej, bo w maju 1920 roku, zgodę na przejazd polskich pociągów z zaopatrzeniem wojennym przez swoje terytorium wstrzymała, wrogo nastawiona do Polski, Czechosłowacja. Jedyną kolejową drogą, którą można było wówczas jeszcze skutecznie realizować dostawy z Francji i Austrii do Polski,

przewodziła okreśną trasą przez Węgry, Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców i Rumunię. Jednakże w lipcu i sierpniu 1920 roku zdolano skierować do Polski tą trasą tylko trzy pociągi z materiałem wojennym pozyskanym w Austrii oraz na Węgrzech.

Zmusiło to kierownictwo Misji do zorganizowania oraz prowadzenia dalszego transportu wspomnianą wcześniej drogą morską. Statki z materiałem pozyskanym we Francji i Wielkiej Brytanii płynęły do Gdańska, skąd następnie przywieziony materiał wysyłano w głąb Polski.

W okresie poprzedzającym Bitwę Warszawską PWMZ w Paryżu zrealizowała także kluczowe dla polskiej armii dostawy broni i amunicji pozyskanej od Francuzów w greckiej Macedonii, które również przewieziono do Gdańska drogą morską. Pierwszy z trzech statków Misja wysłała z Salonik do Gdańska 30 czerwca 1920 roku.

Przywieziona broń i amunicja zostały niezwłocznie wykorzystane do zaopatrzenia walczących oddziałów oraz uzbrajania wcielanych w tym czasie do wojska ochotników. Tym samym polskie dowództwo było w stanie wystawić i uzbroić do walki dodatkowe rezerwy, które w połowie sierpnia 1920 roku okazały się niezbędne do obrony Warszawy.

Efektywna praca PWMZ w Paryżu i organizowane przez nią regularne dostawy morskie przyczyniły się również do tego, że we wrześniu 1920 roku, w ramach tzw. operacji niemeńskiej, Józef Piłsudski ponownie pokonał Michaiła Tuchaczewskiego, który, przygotowując nową ofensywę wojsk sowieckich, był przekonany, że Polacy nie posiadają dodatkowych rezerw materiałowych i osobowych.

Oficerowie i szeregowi żołnierze służący we wszystkich wydziałach, submisjach oraz bazach PWMZ w Paryżu pełnili swą służbę z pełnym poświęceniem. Wiedzieli o tym, że ich

praca jest tak samo ważna jak walka ich kolegów na froncie w kraju. Byli w pełni świadomi tego, że aby Polacy mogli walczyć, musieli mieć broń i amunicję. 12 sierpnia 1920 roku gen. J. Pomiankowski wysłał depeszę do ministra spraw wojskowych, w której informował: „Odczuwamy wszyscy odpowiedzialność przed Bogiem i Ojczyzną, pracujemy, co ludzkie siły

wiek istotnym aspektem procesu pozyskiwania oraz transportu do Polski materiału wojennego i innych potrzebnych artykułów dla wojska była działalność Polskiej Wojskowej Komisji Likwidacyjnej i Misji Gospodarczo-Handlowej RP w Wiedniu, a po likwidacji tej ostatniej – działalność Komisji Zakupów Rządowych w Wiedniu.



Powitanie Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego na dworcu w Paryżu przez premiera Aristidesa Brianda (1. na lewo od marszałka) i ministra spraw wojskowych Louisa Barthou (1. na prawo od marszałka) FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

starczą, granic możliwości jednak przekroczyć nie możemy”.

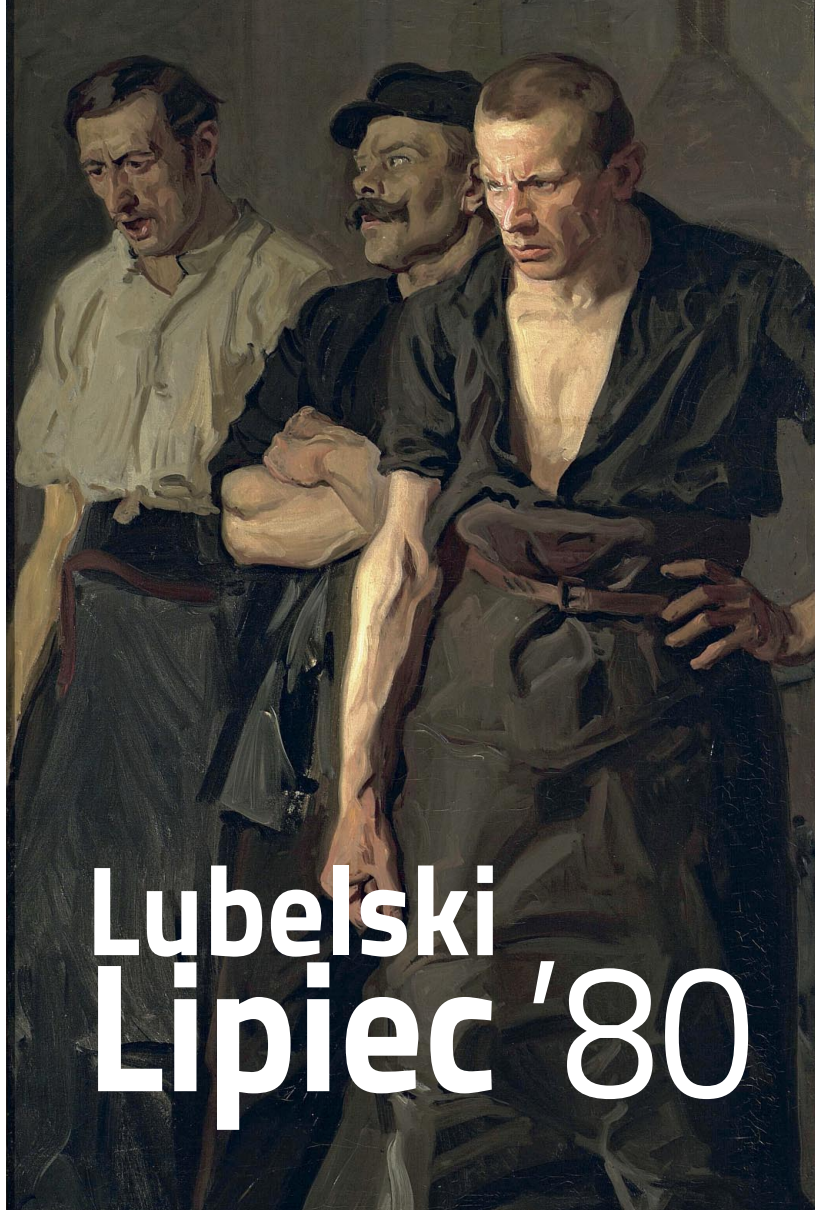
Jak wyglądałaby sytuacja polskiego wojska bez tej misji? Czy były jakieś alternatywy?

Znając skalę dostaw materiałów wojennych zrealizowanych przez PWMZ w Paryżu, można postawić tezę, że m.in. dzięki jej aktywnej działalności Polska zdołała zapewnić sobie środki do walki, wygrać wojnę z Rosją sowiecką oraz wytyczyć swoje wschodnie granice. W zależności od rodzaju materiałów wojennych Misja dostarczyła ok. 60–80 proc. wyposażenia wojskowego i uzbrojenia, jakie trafiły do Polski z zagranicy w latach 1919–1921.

Jeżeli chodzi o alternatywy, to w latach 1919–1920 oddzielnym, aczkol-

W latach 1919–1921 z Austrii wysyłano do Polski liczne transporty zawierające broń, amunicję oraz inne materiały potrzebne do zaopatrywania armii. Ponadto ograniczone możliwości zakupu broni i amunicji istniały we Włoszech, gdzie od 1919 roku działała Polska Misja Wojskowa w Rzymie, kierowana przez gen. Eugeniusza Kątkowskiego, która jednak w zakresie działalności gospodarczej i zakupów wojskowych podlegała PWMZ w Paryżu. Dodatkowe zakupy, choć na mniejszą skalę – głównie amunicji do karabinów – realizowano także na Węgrzech.

**Rozmawiał
Mateusz Wilk-Tomaszewski**



Lubelski Lipiec '80

TEKST | Dorota Gałaszewska-Chilczuk

◀ Plakat „Strajk” autorstwa Stanisława Lentza z 1910 r., kolportowany w lipcu 1980 r.
FOT. ZE ZBIORÓW ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO W LUBLINIE

bufetach i w stołówkach zakładowych ceny się nie zmieniały. Ludzie poczuli się oszukani.

Najpierw zatrzymała się produkcja, później do protestu dołączyła administracja. Jak wspominał narzędnik Leszek Graniczka, nie chodziło o samą cenę kotleta, lecz o sprzeciw wobec systemu, który nie potrafił zapewnić ludziom godnych warunków pracy i życia. Strajk zbliżył do siebie robotników, kadrę techniczną i pracowników administracji, którzy wcześniej właściwie nie kontaktowali się ze sobą. Ujawnili się też autentyczni przywódcy, technolog Zofia Bartkiewicz czy konstruktor Zbigniew Puczek.

Przez następne dni robotnicy przechodzili do zakładu, ale nie pracowali. Porządku pilnowała robotnicza straż. Trwały wiece, narady, rozmowy z przedstawicielami dyrekcji i władz z Lublina, a także z Warszawy. Padły pierwsze obietnice ustępstw. Równocześnie władze próbowały rozbić

Na kilka tygodni przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych i narodzinami Solidarności to nie Gdańsk, lecz Lubelszczyzna stała się miejscem jednej z największych od Grudnia '70 fal robotniczych protestów. Między 8 a 25 lipca 1980 roku strajkowało od 40 do 50 tys. pracowników w ponad 150 zakładach pracy. Protesty objęły nie tylko Lublin i Świdnik, lecz także Białą Podlaską, Chełm, Kraśnik, Lubartów, Opole Lubelskie, Poniatową, Puławę i wiele mniejszych miejscowości.

Bezpośrednim impulsem do wybuchu niezadowolenia była ogłoszona 1 lipca podwyżka cen mięsa i wędlin. W rzeczywistości robotnicy protestowali przeciwko znacznie szerszym problemom – pogarszającym się warunkom życia, niskim płacom, chronicznym brakom zaopatrzenia, przywilejom partyjnej elity i całkowitemu brakowi wpływu na funkcjonowanie zakładów pracy.

Pierwszy był Świdnik

Zaczął się we wtorek 8 lipca. Rannem pracownicy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego – Państwowych Zakładów Lotniczych Świdnik po przyjeździe do pracy dowiedzieli się, że ceny w zakładowym barze wzrosły niemal dwukrotnie. Kotlet, który dzień wcześniej kosztował 10,20 zł, podróżował do 18,10 zł. Co więcej, dzień wcześniej telewizja zapewniała, że w szkolnych

jedność protestujących. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa bezskutecznie zastraszali najbardziej aktywnych uczestników strajku, a przedstawiciele władz wojewódzkich usiłowali pozyskać ich obietnicami przydziału mieszkań i talonów na samochody.

Niebezpieczny precedens

Robotnicy zgłosili początkowo ponad pięćset postulatów, a następnie skró-

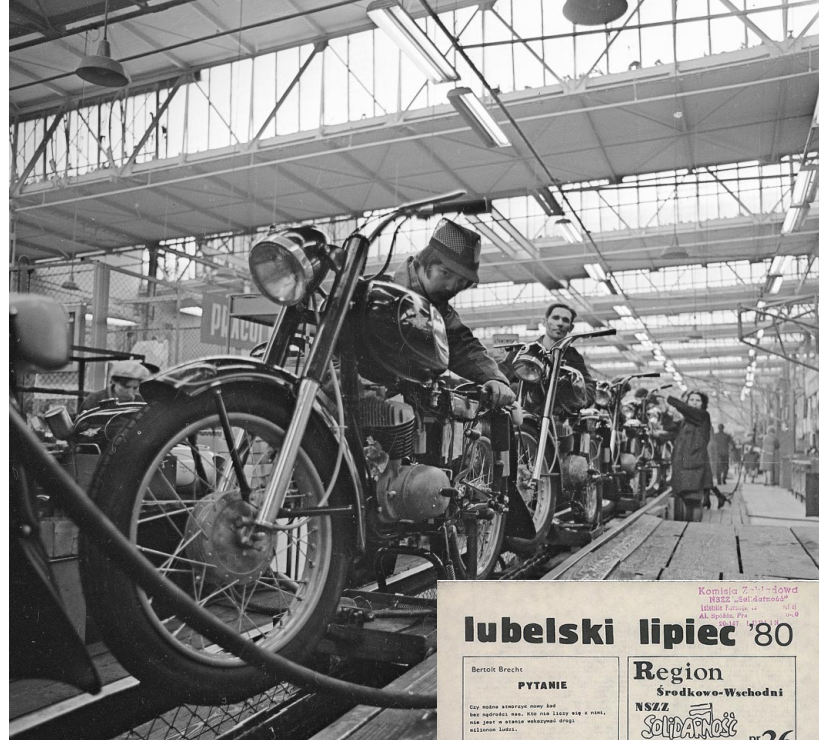
cili ich listę do około 110 najważniejszych. Obejmowały one nie tylko kwestie płac i dodatków, ale również poprawę zaopatrzenia miasta, ograniczenie przywilejów aparatu partyjnego, większą niezależność rad zakładowych od dyrekcji, wprowadzenie wolnych sobót oraz rzetelne informowanie społeczeństwa przez media.

W piątek 11 lipca podpisano porozumienie. Pracownicy dostali podwyżkę płac i zapewnienie, że zaopatrzenie w Świdniku ulegnie poprawie. Za okres strajku otrzymali średnie wynagrodzenie. Władze zobowiązały się, że nie będą wyciągać żadnych konsekwencji wobec strajkujących. Najważniejsze było jednak coś innego – komunistyczne władze po raz pierwszy zgodziły się podpisać pisemne porozumienie z protestującymi robotnikami. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uznało ten fakt za niezwykle groźny precedens.

Strajkowa fala

Więść o rozpoczęciu strajku w fabryce zbrojeniowej produkującej wojskowy sprzęt dla Związku Radzieckiego i całego Układu Warszawskiego rozeszła się błyskawicznie. Już następnego dnia w pobliskim Lublinie protest rozpoczęli pracownicy Fabryki Maszyn Rolniczych „Agromet”, a w kolejnych dniach dołączały następne zakłady, w tym Fabryka Samochodów Ciężarowych, Lubelskie Zakłady Naprawy Samochodów, puławskie Azoty, Polfa oraz dziesiątki przedsiębiorstw w całym regionie. Od 9 do 24 lipca tylko w Lublinie strajkowało około 90 zakładów pracy.

Spektakularny charakter miał strajk Lokomotywni Lublin (16–19 lipca), który spowodował paraliż całego lubelskiego Węzła PKP. Bez lokomotyw i maszynistów nie mógł wyjechać z Lublina żaden pociąg. Maszyniści wypuszczali pasażerów, wyłączali lokomotywy, zabezpieczali je przed uruchomieniem, zamykali kabiny i zabie-

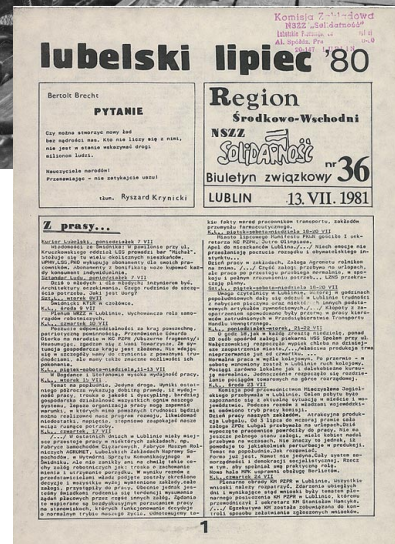


Hala produkcyjna zakładów WSK Świdnik
FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

rali ze sobą klucze oraz nastawniki jazdy. W ten sposób skutecznie zablokowali wszystkie wjazdy do miasta od strony Warszawy i Chełma. Pasażerów miały dowozić do Lublina podstawione autobusy, choć często była to tylko teoria. Nie powiodły się także próby uruchomienia lokomotyw przez łamistrajków sprowadzonych z Dębina i Skarżyska. Bez kluczy i nastawników, które pozostawały w rękach lubelskich maszynistów, było to po prostu niemożliwe.

Sparaliżowane miasto

O ile strajk w Lokomotywni najmocniej odczuli podróżni, o tyle od środy 16 lipca skutki protestów zaczęli odczuwać wszyscy mieszkańcy Lublina. Tego dnia do strajku przystąpiły dwa przedsiębiorstwa odpowiedzialne za dostawy towarów do sklepów – Spółdzielnia Transportu Wiejskiego oraz Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego. Ich protest niemal całkowicie sparaliżował zaopatrzenie Lublina w żywność, zwłaszcza w wyroby mleczarskie. Władze wpadły w panikę. Do rozwożenia mleka, przede wszystkim do żłobków i przedszkoli, skierowano milicjantów po cywilnemu oraz kierowców sprowadzonych z Warszawy



i Kielc. W sklepach zaczęło brakować także pieczywa.

Kulminacja nastąpiła dwa dni później, w piątek 18 lipca, gdy stanęło Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne. Pracę przerwało 500 osób, głównie kierowców. Tysiące mieszkańców zmuszonych było przemierzać miasto pieszo w lipcowym upale. Skala protestów po raz pierwszy stała się widoczna dla całego Lublina. Nazajutrz miasto sprawiało wrażenie pogrążonego w bezruchu. Stanisław Jadczyk, wówczas dziennikarz „Sztandaru Ludu”, który prowadził prywatne notatki o wydarzeniach, zapisał: „Lublin od rana wygląda jak wymarłe miasto. Pusto na ulicach. Plotka mówi, że rozrzucono ulotki apelujące o nieopuszczanie dziś domów, bo będą demonstracje uliczne. Rozklejone co kilkadziesiąt metrów wielkie plachty z apelem do mieszkańców Lublina. Ponure twarze czytających. Odchodzą bez słowa”.

Milczenie propagandy i siła informacji

Władze od początku starały się ograniczyć przepływ informacji o protestach i ich skali. Kierowały się przekonaniem, że jeśli o strajkach nie będzie się mówić publicznie, uda się zapobiec ich rozprzestrzenianiu. Dlatego państwowe media przez wiele dni milczały, kreując obraz kraju funkcjonującego bez zakłóceń.

Dopiero 17 lipca „Sztandar Ludu” w artykule „Nasze wspólne troski” wspominał o „przerwach w pracy” w kilku dużych przedsiębiorstwach. W wydaniu gazety z 19 lipca opublikowano komunikat z posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR i informację o powołaniu komisji rządowej. W przeciwieństwie do kampanii propagandowych towarzyszących protestom w latach 1968, 1970 i 1976, w oficjalnych wypowiedziach nie było ataków na „rozrabiaczy” i „warcholów”. Prasa kreśliła obraz wzrostu wydajności pracy i rosnącej produkcji, choć oczywiście występowały niedociągnięcia i „wspólne troski”. Wyrazem tych ostatnich były przewijające się w medialnych przekazach apele o „odpowiedzialność i rozwagę”.

W tej sytuacji mieszkańcy Lubelszczyzny informacje o przebiegu strajków czerpali przede wszystkim z rozmów i nieformalnej wymiany wiadomości. Od 11 lipca coraz większą rolę zaczęły odgrywać również audycje Radia Wolna Europa.

Kluczową rolę w przekazywaniu informacji na Zachód odegrał członek Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” Wojciech Onyszkiewicz. Wraz ze współpracownikami dokumentował przebieg protestów i przekazywał zebrane informacje Jackowi Kuroniowi. Służba Bezpieczeństwa zorganizowała nawet „kocioł” w mieszkaniu opozycjonisty, zatrzymując osiem osób na 48 godzin. Nie zdołało to powstrzymać przepływu wiadomości. Również inni uczestnicy i świadkowie

wydarzeń przekazywali informacje o sytuacji na Lubelszczyźnie. Dzięki kontaktom Jacka Kuronia z zachodnimi korespondentami wiadomości o lipcowych strajkach trafiały do Radia Wolna Europa.

Między 11 a 23 lipca rozgłosiła wyemitowała dziesięć audycji poświęconych wydarzeniom na Lubelszczyźnie.

Strategia władzy

Ekipa Edwarda Gierka postawiła na strategię wygaszania kryzysu poprzez ustępstwa. Wycofywano się z części podwyżek, akceptowano postulaty płacowe i podejmowano negocjacje z protestującymi. Równocześnie aparat bezpieczeństwa, przede wszystkim Służba Bezpieczeństwa, próbował wywierać presję na najbardziej aktywnych uczestników strajków. Była to kontynuacja ostrożniejszej niż w poprzedniej dekadzie polityki władz, które w tym momencie unikały otwartej konfrontacji z robotnikami.

Na taką postawę wpływało kilka czynników. Edward Gierek chciał zachować na Zachodzie opinię przywódcy prowadzącego politykę bardziej liberalną niż poprzednicy. Równie istotne były jednak nastroje wewnątrz samej PZPR, gdzie coraz częściej dostrzegano, że narastającego kryzysu gospodarczego nie da się rozwiązać siłą.

O randze wydarzeń na Lubelszczyźnie najlepiej świadczy decyzja podjęta 18 lipca, gdy Lublin był już sparaliżowany strajkami. Biuro Polityczne KC PZPR powołało specjalną komisję partyjno-rządową do prowadzenia rozmów z protestującymi. Na jej czele stanął wicepremier Mieczysław Jagielski, poseł z Lubelszczyzny. Fakt zaangażowania jednego z najwyższych przedstawicieli władz państwowych pokazywał, jak poważnie kierownictwo PRL potraktowało lipcowy kryzys.

Początek końca systemu

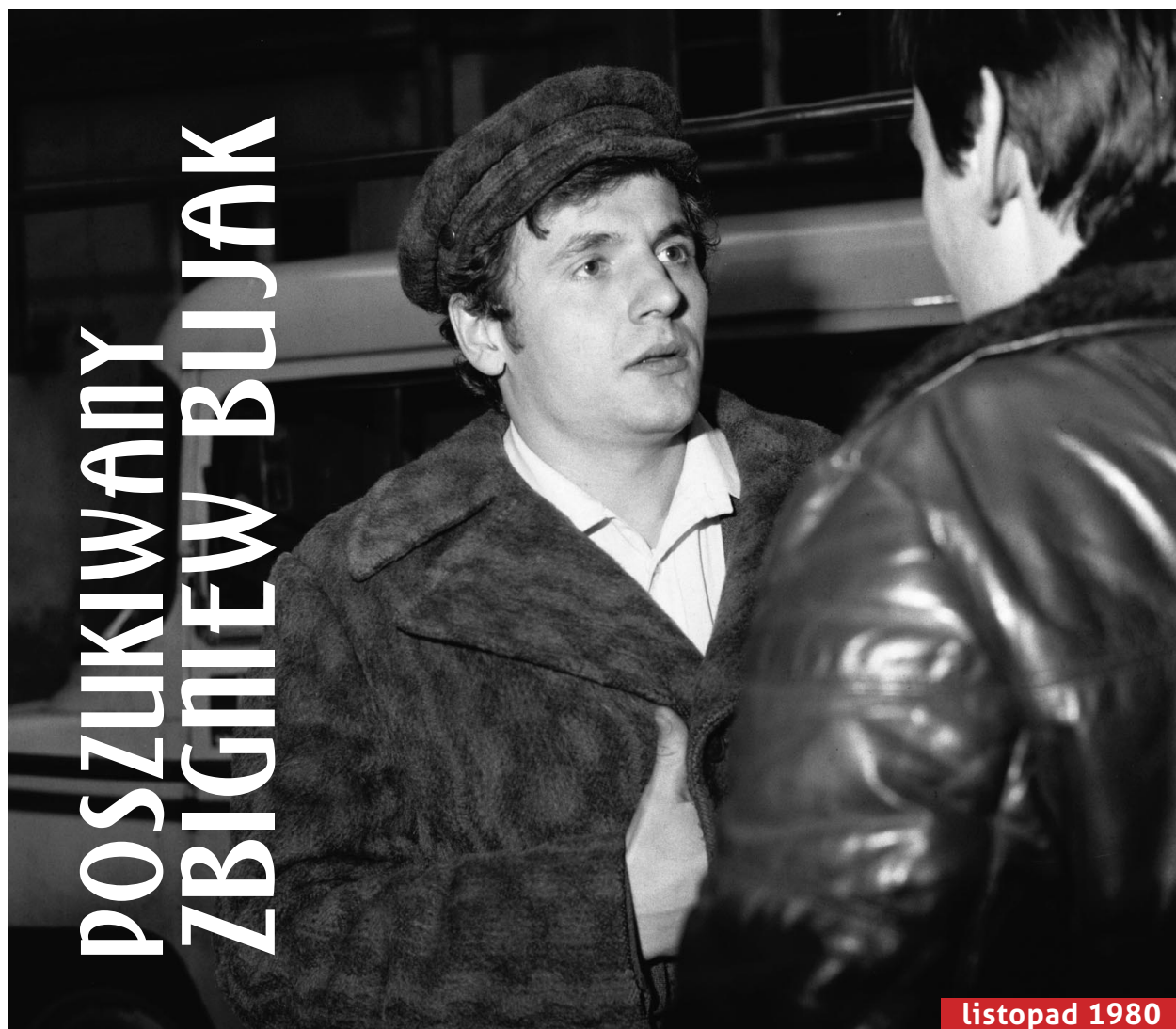
Lubelskie strajki wybuchały spontanicznie i nie miały jeszcze charakteru

solidarnościowego. Kontakty między protestującymi zakładami istniały, ale wynikały przede wszystkim z powiązań gospodarczych oraz prywatnych znajomości pracowników, a nie z istnienia wspólnego kierownictwa czy poczucia jedności wszystkich strajkujących. Nie powstał międzyzakładowy komitet strajkowy, który koordynowałby protesty w całym regionie. To w dużej mierze przesądziło o ich stopniowym wygasaniu po 20 lipca. Największe zakłady zakończyły strajki, a trzy kolejne dni wolne od pracy, związane z obchodami 22 Lipca, rozładowały napięcie i utrudniły dalszą mobilizację załóg.

Protesty na Lubelszczyźnie różniły się od dotychczasowych strajków z lat 1970 i 1976. Pracownicy nie opuszczali zakładu pracy do końca swojej zmiany, prowadząc protest rotacyjny. Byli gotowi do dialogu i negocjacji z władzami, a nie konfrontacji. Wyłaniano ciała przywódcze, jednak – ponieważ zarówno dla pracowników, jak i dla władz słowo „strajk” stanowiło tabu – nazywano je komitetami „postojowymi” lub „robotniczymi”. Okazało się, że taka forma protestu była skuteczniejsza i bezpieczniejsza niż uliczne demonstracje, które w poprzednich latach kończyły się rozlewem krwi.

Choć wydarzenia Lubelskiego Lipca pozostają w cieniu strajków gdańskich, coraz więcej historyków podkreśla, że właśnie na Lubelszczyźnie rozpoczął się proces prowadzący do największego pokojowego ruchu społecznego w historii Polski. To tutaj robotnicy udowodnili, że konsekwentny, dobrze zorganizowany i pokojowy protest może zmusić komunistyczne państwo do ustępstw. Ziarno zasiane w lipcu 1980 roku wydało plon już miesiąc później – w postaci Porozumień Sierpniowych i powstania Solidarności, która zapoczątkowała drogę Polski do wolności. ■

POSZUKIWANY ZBIGNIEW BUJAK



FOT. PAP / CAF ANDRZEJ RYBCZYŃSKI

listopad 1980

TEKST | Grzegorz Majchrzak

Poszukiwany BUJAK ZBIGNIEW s. Jana ur. 29 XI 1954 r., zam. Podkowa Leśna... wzrost 179 cm, szczupły, wysportowany, włosy ciemnoblond, faliste, zaczesane na bok, oczy piwne, blizna na lewej skroni, może mieć zarost i dłuższe włosy... – tego rodzaju komunikaty o poszukiwaniu przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” pojawiły się po 13 grudnia 1981 roku.

Ten groźny „przestępca polityczny” stał się w stanie wojennym jedną z najbardziej poszukiwanych w kraju osób.

Szybko też jego zatrzymanie stało się dla władz PRL priorytetem. Już 17 grudnia 1981 roku, w trakcie narady dyrektoriatu – nieformalnego ciała złożonego z najbardziej zaufanych współpracowników Wojciecha Jaruzelskiego

go – I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR wypominał szefowi MSW Czesławowi Kiszczałowi, że lider mazowieckiej Solidarności nie został jeszcze złapany. Zapewne nie bez znaczenia był w tym przypadku fakt, że do Jaruzelskiego dotarła – na początku grudnia – informacja, że Bujak miał się opowiedzieć za jego – jako premiera – wymianą na innego, bardziej skłon-

nego do ugody z „Solidarnością”, polityka PZPR.

Nic zatem dziwnego, że już tydzień po wprowadzeniu stanu wojennego w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej została utworzona Samodzielna Grupa Operacyjna, której zadaniem było zatrzymanie ukrywających się po 13 grudnia 1981 roku działaczy NSZZ „Solidarność”, w tym

Regionu „Mazowsze”, na czele oczywiście z jego przewodniczącym. Rozesłano listy gończe, organizowano zasadzki i blokady. Bez powodzenia, dlatego 23 marca 1982 roku Kiszczyk powołał centralną grupę operacyjną „w celu koordynacji zadań oraz skoncentrowania uzyskiwanych informacji, związanych z ustaleniem miejsca pobytu” Zbigniewa Bujaka. Na jej czele stanął wysoki funkcjonariusz Biura Studiów MSW (elitarnej jednostki Służby Bezpieczeństwa, powołanej pod koniec 1981 roku do zwalczania kierownictwa Solidarności) Adam Malik. Nad całością działań, którym nadano kryptonim „Skryty”, miał z kolei czuwać sam wiceminister spraw wewnętrznych Władysław Ciasłoń. Do pracy zabrała się – oprócz oczywiście MO – nie tylko cywilna, ale również wojskowa bezpieka (Wojskowa Służba Wewnętrzna) w ramach operacji pod kryptonimem „Harcerz”.

Wiceprezes PZPN wraca do akcji

Po kilkunastu miesiącach – 2 marca 1983 roku – Zbigniew Bujak został zatrzymany przez Departament II MSW, czyli kontrwywiad. Na swoje szczęście został przekazany do Biura Śledczego MSW – i spod nadzoru jego funkcjonariuszy, nie poinformowanych o tym, kogo mają w rękach, udało mu się uciec. Stało się to, gdy wieziono go do mieszkania, w którym rzekomo przebywał, bo tak przynajmniej wynikało z dowodu na nazwisko Michał Wroniszewski, którym się posługiwał.

To zaś oznaczało, że cała „zabawa”, czyli działania operacyjne SB w celu jego zatrzymania, musiały zacząć się od nowa. Tym bardziej że spektakularna ucieczka Bujaka (w rękach funkcjonariuszy został tylko kożuch) stała się głośna, a funkcjonariusze MSW zostali przedmiotem kpín i żartów. Nic zatem dziwnego, że po nieco ponad dwóch tygodniach – 18 marca – zastępcą komendanta stołecznego MO

ds. Służby Milicji (tak na marginesie w „cywilu” wieloletni wiceprezes Polskiego Związku Piłki Nożnej ds. kadry narodowej) Henryk Celak nakazał podwładnym natychmiastowe zintensyfikowanie działań w celu ustalenia miejsca pobytu i zatrzymania poszukiwanych działaczy mazowieckiej Solidarności, na czele oczywiście ze Zbigniewem Bujakiem.

Tak na marginesie, ukrywających się związkowców miano szukać m.in. w placówkach sanatoryjnych i szpitalach rehabilitacyjnych... Z kolei pod koniec czerwca 1983 roku naczelnicy

nakazywano próbę zatrzymania przewodniczącego Zarządu Regionu Mazowsze. Przy czym przestrzegano ich, że ten może dysponować tzw. ochroną osobistą, a nawet wykorzystać fakt, iż był żołnierzem wojsk powietrznodesantowych...

Zatrzymany po czterech i pół roku

Wspomniane działania nie przyniosły jednak skutku – Bujak długo skutecznie ukrywał się. W końcu jednak, po ponad czterech i pół roku – 31 maja 1986 roku – został zatrzymany. Stało



wydziałów, komendanci dzielnicowi i miejscy oraz kierownicy samodzielnych jednostek Komendy Stołecznej MO otrzymali wytyczne w sprawie poszukiwań samego Bujaka, a także jego najnowsze zdjęcie z widocznymi zmianami w wyglądzie zewnętrznym „spowodowanymi przybraniem na wadze ciała przez poszukiwanego”. W poszukiwania zostały włączone m.in. „drogówka” oraz pion gospodarczy MO, a także WSW garnizonu warszawskiego. I oczywiście agentura służb – od MO poprzez SB do WSW. Wszelkie informacje – np. o osobach „ludząco podobnych” do niego – miało niezwłocznie przekazywać do KS MO. Z kolei „w przypadku zaistnienia okoliczności zmuszających do szybkiego działania” funkcjonariuszom

się to dzięki wspólnej operacji Biura Studiów MSW oraz Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych (dawnej KS MO), w wyniku kombinacji operacyjnej, w ramach której podsunęto najbardziej zaufanej współpracownicy Bujaka – Ewie Kulik – willę na Mokotowie. I – kiedy potwierdzono, że znajduje się w niej szef mazowieckiej Solidarności – wkroczyli do niej milicyjni komandosi. Co ciekawe, do zatrzymania Bujaka – w tym czasie kierującego podziemną Regionalną Komisją Wykonawczą (RKW) „Mazowsze” – miało dojść po dłuższych pertraktacjach z członkami kierownictwa RKW w celu skłonienia ich „do dobrowolnego oddania się w ręce SB”, po definitywnym odrzuceniu przez nich takiej propozycji. Taką przynaj-

mniej wersję przedstawiło polskie MSW towarzysząc z enerdowskiej Stasi.

Koronkowa, mozolna praca operacyjna

Jak do tego doszło? Doprowadziła do tego koronkowa i długotrwała praca operacyjna, polegająca na rozpracowaniu systemu łączności RKW „Mazowsze”, a dokładniej jednego z jej członków – Henryka Wujca. Niestety nie dysponujemy na ten temat pełną wiedzą, gdyż materiały operacyjne zostały zniszczone. Na szczęście jednak ta wieloetapowa kombinacja operacyjna, która do tego doprowadziła, została opisana w jednej z resortowych prac magisterskich dotyczących działania jednego z wydziałów SUSW. Jak z niej wynika, funkcjonariuszom SB udało się ustalić, że Wujec posługuje się dwustopniowym systemem łączności, z wykorzystaniem dwóch niezależnych od siebie skrzynek kontaktowych. A z czasem również esbekom udało się podstawić mu tajnego współpracownika, który przejął prowadzenie jednej z nich.

Dzięki temu SB przechwytywała korespondencję przekazywaną w obu kierunkach przez tę skrzynkę, co pozwoliło m.in. poznać terminy spotkań członków Regionalnej Komisji Wykonawczej (w tym Zbigniewa Bujaka) z Henrykiem Wujcem. Ponadto budynek, w którym znajdowała się ta skrzynka, został poddany obserwacji. Dzięki temu oraz przy pomocy tajnego współpracownika udało się z grona osób tam przychodzących wyselekcjonować trzech łączników. Z kolei – w wyniku ich obserwacji – Służbie Bezpieczeństwa udało się namierzyć kolejną skrzynkę.

Rozpracowanie RKW Mazowsze

Wujca oraz właścicieli obu skrzynek poddano „wszechstronnemu rozpracowaniu”, które nie przyniosło jednak

oczekiwanych rezultatów, czyli ustalenia miejsc pobytu i spotkań członków kierownictwa RKW. W tej sytuacji postanowiono doprowadzić do podstawienia takiego lokalu, w którym takie spotkania mogłyby się odbywać. W tym celu – w wyniku kombinacji operacyjnej – SB doprowadziła do tego, że Henryk Wujec w obawie o swoje bezpieczeństwo zrezygnował z wykorzystywania skrzynki kontaktowej obsługiwanej przez TW. Jednocześnie tajnym współpracownikom, którzy utrzymywali z nim kontakt, polecono, aby zaproponowali mu na potrzeby podziemia swoje mieszkania. I rzeczywiście po długim, półrocznym sprawdzeniu Wujec wybrał jeden z takich lokali. Mieszkanie to zostało „zabezpieczone technicznie” przez funkcjonariuszy SB – zamontowano w nim podsłuch oraz podgląd. Jak potem twierdzili esbecy, miało się w nim rzekomo odbyć kilka spotkań kierownictwa Regionalnej Komisji Wykonawczej „Mazowsze” z czołowymi działaczami opozycji, czemu z kolei zaprzecza jeden z najbliższych współpracowników Zbigniewa Bujaka, Konrad Bieliński, według którego nie spotykano się ponownie w tych samych mieszkaniach i po jednym spotkaniu zmieniano lokal.

Dlaczego czekano z zatrzymaniem?

Niezależnie od tego, kto ma w tym przypadku rację, nie ulega wątpliwości, że Służba Bezpieczeństwa miała możliwość zatrzymania liderów mazowieckiego podziemia „na gorącym uczynku”, ale tego nie uczyniła... Dlaczego? Powodów było kilka. Pierwszy jest oczywisty – nie chciano dekonspirować swojego tajnego współpracownika, czyli właściciela mieszkania. Drugi powód, którym zresztą uzasadniano odstąpienie od zatrzymania, wydaje się – przynajmniej na pierwszy rzut oka – kuriozalny. Miał być nim fakt, że „osoby te mogły nie po-



siadać przy sobie na tyle obciążających materiałów, aby można im było udowodnić nielegalną działalność”. Wynikałoby z tego, że nie brano pod uwagę wykorzystania materiałów uzyskanych dzięki podsłuchowi – co zresztą wydaje się logiczne, szczególnie w przypadku lokalu podstawionego przez współpracownika SB. Ponadto, jak się można domyślać, podsłuch ten nie został – ze względu na potrzebę zachowania działań w konspiracji – zalegalizowany przez prokuraturę. W tej sytuacji zdecydowano się na inny wariant – obserwację uczestników tych-



Zebrań przedstawicieli Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego (NSZZ) „Solidarność” Regionu Mazowsze. Hala Gwardii przy pl. Żelaznej Bramy, 19 grudnia 1980 r. FOT. PAP

że spotkań. I to właśnie w jej wyniku funkcjonariuszom SB udało się ustalić miejsce pobytu nie tylko samego Bujaka, ale również Bielińskiego i Kulik.

Ich zatrzymanie okazało się łatwiejsze, niż można się było spodziewać. Jak po latach wspominał Zbigniew Bujak: *Moje aresztowanie wiosną 1986 roku było w gruncie rzeczy wynikiem zmęczenia się społeczeństwa, a tym samym wyczerpania się naszych rezerw. Mieszkanie, w którym mnie naszli, zajmowałem aż przez 6 tygodni. Było to więc sprzeczne ze wszelkimi zasadami bezpieczeństwa. Ponadto nie było to mieszkanie przy rodzinie, stanowiło to (...) pogwałcenie jednej z głównych zasad konspiracji. Ponadto byłem wtedy bardzo ruchliwy – szykowaliśmy bowiem zjazd podziemia. Miała to być spektakularna impreza z udziałem kilkudziesięciu, co najmniej 60 osób. Miała to być nasza odpowiedź na zapowiadany w tamtym okresie zjazd partii. Zjazd nasz miał być zakończony konferencją prasową dla kilkunastu dziennikarzy*

Moje aresztowanie wiosną 1986 roku było w gruncie rzeczy wynikiem zmęczenia się społeczeństwa, a tym samym wyczerpania się naszych rezerw

Zbigniew Bujak

prasy zagranicznej. Impreza ta, gdyby się udała, wstrząsnęłaby establishmentem partyjnym i zrobiłaby prawdopodobnie wrażenie.

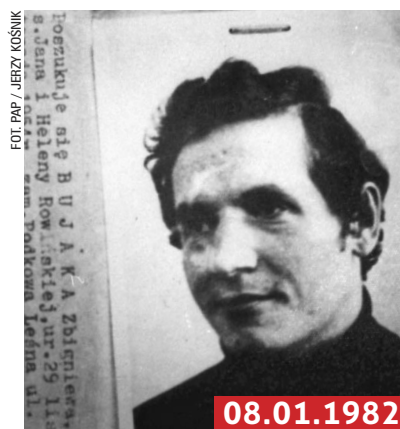
Towarzysze dzwonią do MSW

Niewątpliwie aresztowanie Zbigniewa Bujaka było wielkim sukcesem. Wywołało ono duże wrażenie praktycznie we wszystkich środowiskach, a w przypadku władz wręcz euforię. Jak informowało MSW: *Pod adresem Służby Bezpieczeństwa (...) kierowa-*

*ne są słowa uznania. Wyrazem tego są liczne telefony do sekretariatu ministra, sekretariatów członków kierownictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i dyżurnego operacyjnego ministerstwa. Rządzący doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że zatrzymanie było dużym ciosem dla podziemia i wyrażali nadzieję, że „przyczyni się [ono] do stopniowego zaniku zorganizowanej działalności antysocjalistycznej ze strony podziemia”. Jak jednak zapewniał na łamach „Tygodnika Mazowsze” Kulerski: „Dzieło Zbyszka Bujaka jest kontynuowane”... Z kolei podziemne władze związku – Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” – w specjalnym oświadczeniu stwierdziła: *Jeżeli komunistycznym władcom wydaje się, że aresztowaniami mogą rozwiązać swoje problemy, to jest to świadectwo, że nie rozumieją oni i nie chcą rozumieć naszego narodu, jego dążeń i aspiracji. Represje nie zniszczą, bo zniszczyć nie mogą idei, idei naszego Związku, idei Solidarności. I zapowiedziała walkę o uwolnienie Bujaka.**

Lider mazowieckiej Solidarności nie spędził za kratami zbyt dużo czasu – dzięki kolejnej amnestii 11 września 1986 roku wyszedł na wolność. I do 1989 roku kontynuował działalność w opozycji, zarówno tajną, jak i z czasem jawną. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



FOT. PAP / JERZY KOSŃK



dr Tomasz Kozłowski
FOT. PIPGOV.PL

Halina Krahelska oddana sprawom drugiego człowieka

Etos pracy Haliny Krahelskiej powinien być dla nas niedoścignionym wzorcem. Mało jest dziś ludzi tak oddanych sprawom drugiego człowieka – podkreśla dr Tomasz Kozłowski, nadinspektor pracy z Okręgowego Inspektoratu Pracy w Poznaniu, autor publikacji poświęconych historii organów nadzoru nad warunkami pracy, przede wszystkim w okresie dwudziestolecia międzywojennego.

W tym roku przypada 140. rocznica urodzin Haliny Krahelskiej. Jak – z pana perspektywy – jej postać jest dziś obecna w pamięci?

Halina Krahelska to postać niezwykła. Już sam fakt, że w latach dwudziestych ubiegłego wieku była kobietą i inspektorem pracy, nie był zjawiskiem powszechnym. Jej bogate, a czasem tragiczne doświadczenia życiowe – aresztowanie przez carską

policję, zesłanie na Syberię, ale także działalność niepodległościowa – uczyniły ją osobą szczególnie wrażliwą na potrzeby i krzywdę drugiego człowieka.

Pracy i działalności społecznej oddawała się bez reszty – jako pisarka, naukowiec, ale przede wszystkim jako inspektor pracy. Walka o poprawę warunków pracy nie przynosiła jej wyłącznie sukcesów. Była w niej także

gorzka porażka, niezrozumienia i samotności. Dla Haliny Krahelskiej był to jednak sens życia. Myślę, że mało jest dziś ludzi tak oddanych sprawom drugiego człowieka. W tym aspekcie nie miała i nie ma sobie równych. Jej etos pracy powinien być – i jest – dla nas, współczesnych inspektorów pracy, niedoścignionym wzorcem.

Jaką rolę odegrała Krahelska w formowaniu się Państwowej Inspekcji Pracy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości?

Halina Krahelska przybyła z Rosji do Krakowa w noc sylwestrową 1918 roku. Przyjechała z ogromnym bagażem doświadczeń życiowych, ugruntowaną oceną postaw ludzi uwikłanych w historię i mocnym postanowieniem pracy na rzecz poprawy dramatycznej sytuacji wielu pracobiorców – sytuacji, której sama również doświadczyła. Od tej pory w centrum jej zainteresowań miał znaleźć się zwykły człowiek – robotnik.

Dość szybko nawiązała współpracę ze swoimi przyjaciółmi w Warszawie,

wadziły ją do stanowiska zastępcy głównego inspektora pracy. Wiele jej pomysłów – przede wszystkim dotyczących poprawy warunków pracy – znalazło później odzwierciedlenie w wytycznych kontrolnych dla inspektorów pracy oraz w przepisach wykonawczych z szeroko rozumianej sfery ochrony pracy.

Krahelska była znana z walki o prawa najsłabszych grup robotniczych. Które z jej postulatów dotyczących pracy kobiet i dzieci były w tamtym czasie najbardziej przełomowe?

W 1925 roku – po przerwie w zatrudnieniu spowodowanej macierzyństwem – Halina Krahelska została po-

niem wykonywała obowiązki na poprzednio zajmowanym stanowisku. Znając jej bezkompromisowość, powierzył jej bardzo trudne zadanie.

W lipcu 1924 roku weszła w życie ustawa o ochronie pracy kobiet i młodocianych, z wyjątkiem art. 15, który nakładał na właścicieli przedsiębiorstw zatrudniających ponad 100 kobiet obowiązek zorganizowania i utrzymywania pomieszczeń higieniczno-sanitarnych dla kobiet oraz żłobków dla niemowląt. Wprowadzenie tego przepisu w życie napotykało silny opór przedsiębiorców, którzy uważali go wręcz za szkodliwy. Tymczasem polskie ustawodawstwo ochronne w okresie dwudziestolecia



FOT. DOMENA PUBLICZNA (2)

w czasie gdy tworzone struktury nowo powstałej Inspekcji Pracy. W resorcie pracy i opieki społecznej urzędował przyszły mąż Haliny – Adam Krahelski. Ona sama została zatrudniona na stanowisku sekretarki, jednak przełożeni szybko dostrzegli jej nieprzeciętny talent do rozwiązywania sporów i mediacji. Docenili także jej zdolności organizacyjne oraz nowatorskie pomysły dotyczące poprawy warunków pracy w zakładach.

Dość powiedzieć, że jej nieprzeciętny talent i tytaniczna praca dopro-

ownie zatrudniona w Inspekcji Pracy. Jej bezpośrednim przełożonym był wówczas Wacław Orgelbrand, który pamiętał, z jakim zaangażowa-

międzywojennego należało do europejskiej awangardy. Dość powiedzieć, że konsekwentna działalność Krahelskiej w tym obszarze – prowadzona początkowo w dużych, państwowych zakładach pracy – sprawiła, że już w 1928 roku w Polsce działało 14 zakładów spełniających te wymogi. W kolejnych latach ich liczba sukcesywnie rosła.

Za tę inicjatywę Krahelska została doceniona. Wkrótce awansowała ze stanowiska podinspektora na stanowisko inspektora pracy i rozpoczęła



FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ (2)

pracę w Głównym Inspektoracie Pracy w Warszawie.

W okresie międzywojennym inspektorzy często spotykali się z oporem przemysłowców. Jak Krahelska radziła sobie z presją i jakimi argumentami przekonywała do poprawy warunków pracy?



Jeden z portretów Haliny Krahelskiej autorstwa Witkacego. Obraz znajduje się w Muzeum Niepodległości
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Krahelska – jak zresztą każdy inspektor pracy w tamtym okresie – spotykała się z wrogością przedstawicieli przemysłu, ale także z pewną nieufnością kolegów z Inspekcji Pracy. Kobieta jako inspektor pracy, w dodatku działająca z polecenia głównego inspektora pracy, wzbudzała w swoim środowisku niemałe poruszenie. Trzeba też pamiętać, że kobieta na takim stanowisku była wówczas rzadkością.

O ile jednak koledzy z Inspekcji Pracy nie stwarzali większych problemów, o tyle kontrolowani pracodawcy – bardzo wiele. Ich reakcje obejmowały wrogą obojętność, wyłączenie prądu podczas nocnych kontroli,

a nawet celowe wywoływanie fałszywych alarmów przeciwpożarowych. Krahelska we wszystkich kontrolowanych zakładach, zwłaszcza w porze nocnej, poruszała się w asyście policji.

W przeprowadzanych przez nią kontrolach często uczestniczyli sami pracownicy, wskazując obszary, którymi inspektorka powinna się niezwłocznie zająć. Irytacja przedsiębiorców była więc ogromna. Swoje spostrzeżenia oraz wyniki obserwacji z kontroli Krahelska zawarła w broszurze zatytułowanej „Łódzki przemysł włókienniczy a ustawodawstwo pracy”.

To dzięki ogromnej determinacji, odwadze i niezłomności Krahelskiej kobiety pracujące – nie po raz pierwszy – uzyskały poprawę warunków pracy. Nie bez znaczenia dla jej skuteczności był także fakt, że zajmowała stanowisko bezpośrednio przy szefie Inspekcji Pracy.

W 1945 roku, przebywając w obozie Ravensbrück, Krahelska napisała „Wytyczne w sprawie organizacji Inspekcji Pracy w Polsce Niepodległej po II-giej Wojnie Światowej”. Na ile jej ówczesna wizja pokrywa się z dzisiejszym kształtem PIP?

Krahelska napisała „Wytyczne” pod koniec swojego pobytu w obozie Ravensbrück. Trudno to sobie dziś wyobrazić, ale podjęła ten wysiłek intelektualny w warunkach skrajnego niedożywienia, w atmosferze terroru fizycznego i psychicznego. Rękopis, sporządzony ołówkiem na szarym papierze, przechowywała z narażeniem życia Zuzanna Ćwiklińska. Po wojnie przekazała go do Muzeum Pamięci i Pamiętnikarstwa.

Dziś możemy stwierdzić, że był to swoisty testament Krahelskiej. Zawarła w nim cenne uwagi dotyczące organizacji i zakresu działania urzędu oraz inspektorów pracy w odrodzonej ojczyźnie. Jak zawsze skupiała się przede wszystkim na najsłabszych –

kobietach i młodocianych. Człowiek pracy pozostał dla niej podmiotem działania do końca życia.

Tuż przed śmiercią Krahelska próbowała jeszcze napisać – na prośbę współwięźniów z obozu męskiego – szkic o sytuacji politycznej w kraju. Zabrakło jednak sił. Zmarła z wycieńczenia 19 kwietnia 1945 roku. Spoczęła na terenie obozu, który został wyzwolony 11 dni później.

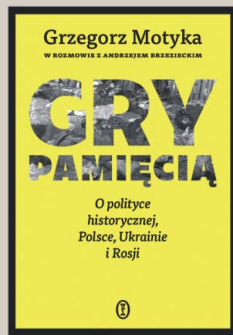
Od 1989 roku PIP przyznaje Nagrodę im. Haliny Krahelskiej. Jakie kryteria musi spełnić społecznik lub ekspert, by stać się godnym kontynuatorem jej dziedzictwa?

Nagroda im. Haliny Krahelskiej przyznawana jest za wybitne osiągnięcia w dziedzinie ochrony pracy i zdrowia w środowisku pracy. W jej ramach można także wyróżniać i promować osiągnięcia z zakresu prewencji zagrożeń zawodowych, kontroli i nadzoru nad warunkami pracy, a także nagradzać autorów projektów bezpiecznych technik oraz programów szkoleń z zakresu bezpieczeństwa i higieny pracy.

Nagrodzone mogą zostać zarówno osoby fizyczne, jak i instytucje, których działalność przynosi wymierne efekty człowiekowi w środowisku pracy. Kryteria przyznawania tej nagrody są więc bliskie ideom i poglądom reprezentowanym przez Krahelską. Zdobycie tego wyróżnienia nie jest łatwe, dlatego nagroda cieszy się prestiżem i uznaniem w środowisku osób związanych z szeroko rozumianą ochroną pracy.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**

Dr Tomasz Kozłowski – nadinspektor pracy z Okręgowego Inspektoratu Pracy w Poznaniu, doktor nauk prawnych w specjalności historia państwa i prawa, autor wielu publikacji z zakresu historii organów nadzoru nad warunkami pracy, głównie w okresie XX-lecia międzywojennego.



Grzegorz Motyka

„Gry pamięci. O polityce historycznej, Polsce, Ukrainie i Rosji”

To znakomity wywiad-rzeka z prof. Grzegorzem Motyką, przeprowadzony przez Andrzeja Brzezieckiego. Nie jest to wyłączenie rozmowa o historii, lecz przede wszystkim o tym, jak pamięć staje się narzędziem współczesnej polityki. Autorzy pokazują, że spory o przeszłość nie są zamknięte – wciąż wpływają na relacje między państwami, decyzje polityków i społeczne emocje.

Najmocniejsze fragmenty książki poświęcone są wydarzeniom, które do dziś determinują stosunki polsko-ukraińskie i polsko-rosyjskie. Profesor Motyka opisuje zbrodnię wołyńską z naukową precyzją, opierając się na dokumentach i świadectwach. Nie pozostawia wątpliwości, że była ona rezultatem zaplanowanych działań OUN-UPA, a nie spontanicznej przemocy. Jednocześnie podkreśla, że prawdziwe pojednanie nie jest możliwe bez ekshumacji ofiar. Trudno nie zapamiętać jego przejmującej refleksji, że „nie ma nic tragiczniejszego niż brak ciała”, bo wtedy zamordowany staje się „podwójnie nieobecny” – nie istnieje ani w świecie żywych, ani nie może zostać godnie pożegnany przez bliskich.

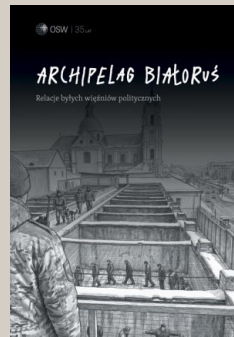
Równie interesująca jest analiza zbrodni katyńskiej oraz tzw. anty-Katynia, rosyjskiej narracji propagandowej wykorzystującej śmierć jeńców sowieckich w polskiej niewoli do relatywizowania zbrodni katyńskiej. Motyka pokazuje, jak pamięć o zbrodni katyńskiej oraz sprawa sowieckich jeńców w polskiej niewoli były i nadal bywają wykorzystywane w polityce historycznej, stając się argumentem w międzynarodowych sporach zamiast przedmiotem spokojnej refleksji historycznej.

Siłą tej książki jest intelektualna uczciwość autora. Profesor Motyka nie schlebia żadnej ze stron – z jednakowym krytycyzmem odnosi się do polskich uproszczeń, ukraińskich przemilczeń i rosyjskiej propagandy. Widać, że za jego opiniami stoją lata badań, praca w archiwach Moskwy i Kijowa oraz doświadczenie zdobyte podczas obserwacji współczesnej wojny, również w Buczy.

„Gry pamięci” to książka dla tych, którzy szukają czegoś więcej niż prostych ocen. To lektura wymagająca, chwilami niewygodna, ale niezwykle potrzebna. Zmusza do myślenia, uczy krytycznego spojrzenia na politykę historyczną i przypomina, że przeszłość nie jest martwym rozdziałem dziejów – nieustannie wpływa na teraźniejszość i kształtuje przyszłość.

DG

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026



„Archipelag Białoruś. Relacje byłych więźniów politycznych”

To jedna z tych książek, które trudno odłożyć i jeszcze trudniej zapomnieć. Zebrane relacje byłych więźniów politycznych tworzą przejmujący obraz współczesnego białoruskiego systemu represji. Choć każda historia jest inna, wszystkie prowadzą do tego samego wniosku – za walkę o podstawowe prawa człowieka można zapłacić latami więzienia, upokorzeń i przemocy.

To nie tylko zapis indywidualnych losów, lecz także mocne świadectwo funkcjonowania państwa, które uczyniło terror narzędziem sprawowania władzy. Największą siłą tej książki jest perspektywa codzienności. Czytelnik obserwuje system represji nie przez pryzmat politycznych deklaracji, lecz przez doświadczenia konkretnych ludzi – ich strachu, samotności, prób zachowania godności i walki o własną tożsamość. Cel tego systemu pozostaje niezmienny: złamać człowieka, zdeptać jego indywidualność i odebrać mu wiarę w sprawiedliwość.

Tom otwiera znakomity esej Andrzeja Poczobuta, który z reporterską precyzją pokazuje mechanizmy działania współczesnego łagru. Pozostałe relacje, nagrane i opracowane na zlecenie Ośrodka Studiów Wschodnich w latach 2025–2026, dopełniają ten obraz, ukazując system z perspektywy jego ofiar.

Liczby są porażające. Od 2020 roku przez białoruskie areszty przeszły dziesiątki tysięcy osób, a ponad osiem tysięcy zostało skazanych na kary więzienia. W przeliczeniu na liczbę mieszkańców skala represji okazuje się nawet większa niż w Rosji.

Z tych świadectw wyłania się obraz państwa, w którym prawo jest jedynie fasadą, a sądy przypominają kałkowski teatr absurdu. Śledczy i funkcjonariusze więzienni stosują przemoc fizyczną i psychiczną, więźniowie polityczni są pozbawiani podstawowych praw, a obowiązek noszenia żółtych naszywek staje się symbolem ich wykluczenia i odczłowieczenia.

„Archipelag Białoruś” nie jest książką o odległej historii. To opowieść o Europie XXI wieku. Tym bardziej porusza, że opisuje rzeczywistość dziejącą się tuż za polską granicą. To lektura ważna, odważna i potrzebna – przypominająca, jak krucha bywa wolność i jak łatwo państwo może zamienić się w maszynę niszczącą własnych obywateli.

DG

Ośrodek Studiów Wschodnich, Warszawa 2026



83 LATA OD ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ

– Możliwość odnalezienia ofiar i zapewnienia im godnych pochówków to kwestie, które należą do kanonu podstawowych wartości europejskich – dodał szef UdSKIOR i przypomniał słowa Jana Pawła II, wypowiedziane 23 lata temu: „Nowe tysiąclecie (...) wymaga, aby Ukraińcy i Polacy nie pozostawali zniewoleni swymi smutnymi wspomnieniami przeszłości.”

– Wracamy tu każdego roku, aby pamiętać o ludziach. O konkretnym życiu, konkretnej rodzinie, konkretnym losie, który został brutalnie przerwany. Każde kolejne spotkanie jest dla nas wyrazem dążenia do celu, który pozostaje najważniejszy: odnalezienie ofiar i zapewnienie im godnego pochówku – podkreślił szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell podczas obchodów Narodowego Dnia Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej.

Szef Urzędu zaznaczył, że pamięć o ofiarach wymaga nie tylko corocznych uroczystości, lecz także trwałych form upamiętnienia, przywracających im należne miejsce w historii. Zapowiedział zaangażowanie Urzędu w realizację ogłoszonej przez premiera Donalda Tuska inicjatywy budowy Muru Pamięci w Warszawie – miejsca, w którym z imienia i nazwiska zostaną upamiętnione ofiary o ustalonej tożsamości. Odnosił się także do procesu integracji Ukrainy z Unią Europejską i wyraźnie podkreślił, że droga Ukrainy do zjednoczonej Europy może prowadzić przez pojednanie.

Obchody Narodowego Dnia Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej zostały zorganizowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Instytut Pamięci Narodowej.



FOT. UD SKIOR (5)